

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 41 (1777) • 11-17 października 2024



Niech żyje wojna!

str. 5



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

❖ Po tym, jak szef sztabu generalnego WP gen. Wiesław Kukula ogłosił, że *jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w rękę w obronie naszego państwa* – jego zastępca gen. Karol Dyma- nowski pospieszył uspokajać sytuację: *Oczywiście, obecnie Rosja jest wojskowo osłabiona wojną z Ukrainą, ale po to, aby utrzymać pokój i nie dopuścić do wybuchu konfliktu zbrojnego, mamy wojsko, które budujemy i utrzymujemy, żeby w pierwszej kolejności broniło pokoju...* Zgola inne zdanie ma w tej sprawie nowa gwiazda PiS, dotychczas znana z nietypowo wyważonych wypowiedzi: *Zakładam, że on mówił do ruskich generałów. I mnie to odpowiada, że jeżeli ruski żołnierz przyjdzie, postawi stopę na polskiej ziemi, żeby mordować Polaków i gwałcić Polki, to zostanie mu odstrzelony łeb* – ogłosił radośnie (i cokolwiek seksistowsko) Tobiasz Bocheński. Zakładamy, że poparcie Bo- cheńskiego dla Kukuly nie ma nic wspólnego z faktem, iż akurat za czasów PiS awansował on z pułkownika na czterogwiazdko- wego generała i szefa sztabu generalnego.

❖ Po tym, jak ministra Nowacka ograniczyła religię do jednej lekcji tygodniowo – Kościołowi wyraźnie zaczyna mięknąć rura. Kardynał Nycz ogłosił, że w zasadzie może być jedna godzina, pod warunkiem że będzie *absolutnie obowiązkowa dla wszyst- kich uczniów, skoro żyjemy w cywilizacji europejskiej*. Z pozoru to brzmi beczelnie, ale tak naprawdę jest rozpaczliwe: zważywszy, że w szkołach średnich na religię chodzi mniej niż połowa uczniów, a i w podstawówkach owce się wykuszają – jedna godzina obo- wiązkowa może się biskupom jawić jak wróbel w garści. Oczywi- ste jest, że ten rząd nie wprowadzi obowiązkowej religii – skoro nie zrobił tego nawet Czarniecki – ale takie okrzyki dają purpuratom po- czucie, że jeszcze o coś walczą i mają coś do powiedzenia. Niech się cieszą, biedactwa.

❖ Posłowie Razem nie są pewni, czy poprą budżet. Anna Maria Żukowska odpowiada: *Jeżeli taka dyscyplina, jaką wprowadzą w klubie, zostanie złamana przez kogoś, to dla takiej osoby nie będzie miejsca w klubie parlamentarnym Lewicy*. Może ktoś by wytłumaczył Annie Marii, że ciało, którym kieruje, posiada regu- lamin. Zgodnie z nim – a nie z życzeniami p. Żukowskiej – w gło- sowaniach nad przedłożeniami rządowymi obowiązuje dyscypli- na, ale w przypadku wniosku ze strony jednej z partii tworzących klub parlamentarny Lewicy o wyłączenie dyscypliny głosowania decyzję podejmuje kierownictwo tej partii. Włodzimierz Czarza- sty, który – jak się zdaje – w odróżnieniu od swojej faworytki regulamin zna, usiłuje załatwić sprawę na miękko: *Myszę, że par- tia Razem do momentu głosowania super, fajnie, z uśmiechem na ustach, tak jak uśmiechnięta koalicja się dogada*. Czarzasty przypomina też: *pomagamy naszym przyjaciółom po to, żeby wy- szli z kryzysu* – tą metodą, że razem z Razem głosują przeciwko posłance Matysiak. To zobowiązuje.

❖ Ą propos posłanki Matysiak: Aquapark Fala w Łodzi wzbudził daleko idące poruszenie, wyznaczając w swoim harmonogramie jeden dzień bez dzieci. *Fala tylko dla dorosłych, dzieciom wstęp wzbroniony* – głosi plakat przyozdobiony wizerunkiem drącego się bachora wpisanego w znak zakazu wjazdu. *Marzy Ci się cały dzień na basenie bez pisków, chlapania i kolejek na zjeżdżalni? 19 października w Aquaparku Fala bawią się wyłącznie dorośli!* – wabi akwapark. Ta szlachetna inicjatywa oburzyła między innymi właśnie p. Matysiak: *Czy w planach są kolejne dni „bez kogoś”? Bez nastolatków? Bez urodzonych w dni parzyste? Bez leworęcz- nych? Absurd!* Dotychczas mieliśmy wobec posłanki Matysiak, zawieszonej w prawach członka za zbliżenie z PiS, tzw. uczucia ambiwalentne. Teraz wszakże okazuje się, że jej walka o osobistą i polityczną wolność obejmuje tylko jej niebezpieczne związki z po- słem Horalą. Pomysł, że raz na rok ktoś może chcieć być wolny od cudzych dzieci, wyraźnie ją oburza.

❖ Szef KRRiT Maciej Świrski jako szef Polskiej Fundacji Narodo- wej wydał prawie pół bańki ze służbowej karty kredytowej, głów- nie na podróże. Z zasady latał biznesem, bo *że się czuł albo czuł potrzebę i konieczność przygotowania prezentacji na spotkanie, albo istniała konieczność wyeliminowania syndromu jet lag po przylocie w celu jak najszybszego odbycia spotkania w pełni sił umysłowych*. Tego, jak wygląda *pełnia sił umysłowych* p. Świr- skiego faktury na szczęście nie wyszczególniają; w odróżnieniu od cen hoteli (400–500 dolarów za noc), taksówek (600 euro ze Strasburga do Frankfurtu), a także prania garnituru, który mu się *ubrudił w podróży* (26,79 dolara). W tym kontekście mieszkanie za 7750 zł miesięcznie, jakie Kindze Gajewskiej i Arkadiuszowi Myrse fundują podatnicy, którzy dodatkowo wyposażyli najślicz- niejszą sejmową parę z PO w zegarek Apple’a, trzy odkurzacze i cztery ekspresy do kawy – to wydatki zgola skromne. Jednak nurtuje nas pytanie: czy politycy opanują kiedyś prostą mądrość, tak dobrze znaną ludowi: *nie bądź, chamie, chytry?*



❖ CBA zawiązało Janusza Palikota, któremu zarzuca, że naciął 5 tys. osób na – w sumie – 70 mln zł, namawiając ich do inwestowania w swoje firmy, które miały przynosić 10 proc. zysku rocznie. Dodatkowo inwestor, który wy- myśli najlepszą nazwę dla nowej palikotowej gorzalki, miał wygrać Rolls-Royce’a Ghost wartego dwie bańki. Czyli nieco mniej, niż Palikot jest winien swoim pracownikom w Tenczynku, gdzie nie płacił pensji od kilkunastu miesięcy. PIP nałożyła na niego za to cztery mandaty i skierowała dwa wnioski do sądu, co niedysięjszy twórca ruchu własnego imienia miał w najgłębszej dupie. Zauważyliście, że w warunkach *społecznej gospodarki rynkowej* III RP biznesmenowi, który nie płaci pracownikom, włos z głowy nie spada, ale kiedy narznie inwestorów, prokuratur wkracza z całą surowością?

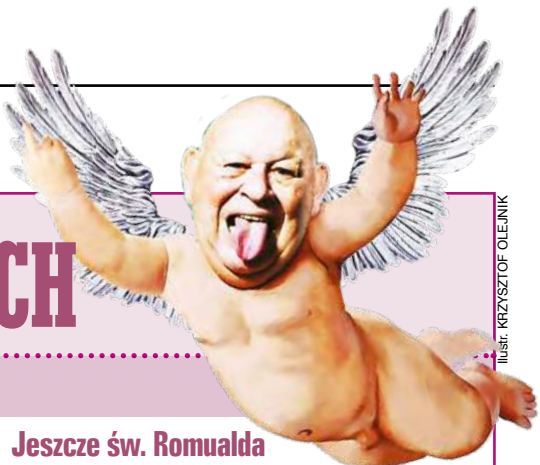
Rys. OBYWATEL JANEK

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec 2012 r.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Serca

Nadszedł list od Czytelnika, że „NIE” prze- stało być lewicowe, gdyż zwalczamy SLD i Mil- lera, bo ja zakochałem się w Palikocie. Zdra- dziłem też świat pracy, popierając Tuska, czyli wydłużenie wieku emerytalnego. Jaki Miller był łajdak i sprzedawczyk – pisze autor – takim go nie pamiętamy, bo po Napieralskim to cudo i zbawiciel lewicy. Podpisano: Andrzej z Kra- kowa. Odpowiadam. SLD proponował uzy- skiwanie emerytur wedle stażu pracy – 41 lat dla mężczyzn, 35 dla kobiet, niezależnie od wie- ku. Sojusz był więc przeciw zrównaniu wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn. Faktycznie opowiadał się za obniżeniem wieku przejścia na emeryturę tej większości, która równo pra- cuje np. od 20. roku życia. I za dyskryminacją emerytalną osób, których w ich życiu dotyczyło bezrobocie. SLD chciał więc emerytur przed- wczesnych, niesprawiedliwych, a w rezultacie niskich. Jeśli to są dążności lewicowe, to ja je- stem kardynał ksiądz Sapieha.

Świętego Jeana

Głód zaszczytów nawet z Woltera czynił idiotę. Tym bardziej dumnie wyrwini są do samośmieszności. Państwo eksambasadorstwo Passentowie uczynili mi zaszczyt, przyjmując zaproszenie na kolację. Jakby mało mi było honorów, chciałem Passentowi zaimponować, a to jest tak, jak gdyby pójść do królowej an- gielskiej, nosząc większy brylant, niż ona ma w koronie na łbie swoim. Wyjąłem z kiesze- ni papier i poprosiłem red. Passenta, żeby mi przetłumaczył, ponieważ nie znam narzecza angielskiego, w którym pismo sporządzono. W liście tym potwierdzano zaproszenie mnie na szczyt mediów światowych w Moskwie z udziałem Putina i przedstawiano program. Ja już wcześniej odmówiłem udziału, wiedzia- łem więc, że program dostaje poślizgiem, ale chciałem się pochwalić, że mnie zapraszano. Passent przetłumaczył i oddał mi papier, wów- czas poczułem, że on wie, iż się przechwalam jak kurwa pierścieniem, i że nie chodzi mi

o treść listu, tylko jestem kogutem, który przed pawiem rozwija swój obsrany ogon. I chcia- łem się pod ziemię zapaść, ale nie mogłem, gdyż była to posadzka amerykańskiego hotelu twarda jak dolar przed I wojną światową lub podłoga bunkra wojennego szefa połączonych sztabów USA.

Świętego Leona

Liberałowie i lewicowcy głoszą, że nad dziećmi nie należy się znęcać, zaś konserwa- tyści i katolicy są za biciem bachorów (Marek Jurek) lub co najmniej dawaniem im klapsów. Przed wojną, kiedy byłem małym chłopcem, w majątku moich dziadków był dr Pin- kus. Łapał mnie kłykciami palców za policzek, boleśnie wykręcał i mawiał: – Pamiętaj wuj- cia Pinkusa? Z wszystkich gości odwiedza- jących w weekendy moich dziadków na całe życie zapamiętałem więc tylko nienawistną mi mordę i nazwisko Pinkusa. Teraz w książko- wych wspomnieniach Wacława Solskiego czy- tam, że po rewolucji w Rosji autor był w Miń- sku i z ramienia Sowietu jeździł z dr. Pinku- sem z łódzkiego PPS rozpraszać i aresztować bandytów. I natarczywie niczem komornik na- chodzi mnie myśl, że gdyby nie bestialstwo dr. Pinkusa wobec dzieci, jego nazwisko nikomu na świecie nic by już nie mówiło i nikt z żyją- cych nie pamiętałby jego twarzy.

Świętego Romualda

Przed sklepikiem na rogu:
– Panie Jureczku, pan da 5 złotych na chleb.
– Ładnie tak klamać?
– To na piwo.
– Piwo panu nie starczy.
– No to daj pan 4 dychy na wódkę.
– Ma pan 5 na chleb.
– Pan to ma, panie Jureczku, podejście do człowieka.
– A Wolk-Łaniewska mówi, że nie jestem lewicowy. Słyszał pan?
– Nie. Ale jak ktoś panu nie pasuje, to niech no go pan tu przyprowadzi.

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Pełnomocnik Palikota** powiedział, że nie wie, gdzie znajduje się jego klient. Panie mecenasie: PDV.
- **Prezydent Duda** został surferem. A ludzie pytają, czemu prezes nie rozmawiał z nim ponad cztery lata.
- **Michał Woś** powiedział, że Rosja i Tusk zohydzają system Pegasus. Bo on ma takie wielkie uszy!
- Jak pokazują badania, **alkohol na stacjach benzynowych** bezpośrednio wpływa na liczbę pijanych kierowców. Dużym uproszczeniem byłoby sprzedawa- nie alkoholu pod izbami wytrzeźwień.
- **Zygmunt Solorz** rozpoczął odwoływanie swoich synów z władz najważniej- szych spółek. Tatuś najadł się kulek mocy.
- **Elon Musk** pochwalił Donalda Trumpa za zachowanie pod ostrzałem. Przypomi- namy: w trakcie ostrzału Trump pozował do zdjęć.

MARTA M.

PRZEMINEŁO Z WIATEREM



Rys. TOMASZ WINTER

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Przeciwko równości, za równym startem

Z pewną taką dozą irytacji przyjąłem artykuł P. Iko- nowicza pochwalający równość. Suma obserwacji i doświadczeń życiowych rodzi sprzeciw. Nie wierzę, że poza idealistycznymi wyobrażeniami i projekcją własnej wspaniałości na resztę da się dobrze żyć w społeczeństwie bez zdrowej, małej dawki buta i knuta. Wspaniałości i integrity Ikonowicza nie kwe- stionuję. Za dużo ludzi dąży do minimalizmu: oddy- chanie, zarcie, wydalanie, szeroko pojęta (wg „elit”: niska) rozrywka, zbijanie bąków, nieprzemęczanie mózgu, rozplód. To wymaga ryzów i motywacji: po- męcz się, a będzie ci lepiej. I oby była to motywacja pozytywna.

Trzeba mądrze wyważyć między ślepym pędem ku „rozwojowi” (bo na dalekosiężne skutki mało kto patrzy – większość na portfel, najczęściej swój), a od dekad rosnącą tendencją do tworzenia etatów fikcyjnych. Często w życiu zawodowym miałem

poczucie, że lepiej dla pracy jako takiej byłoby, gdyby rozmaici dziwacy brali kasę za nic, byle nie pchali kija w sprzyczki i nie sypani piasku w tryby.

Powiadają uczeni w piśmie: wychowywanie dorosłych to zasady pański; poza nielicznymi wyjąt- kami jest to rzeczywiście niemożliwe. Ludzi należy dobrze kształcić i wychowywać wcześniej. I oby szanse dzieci i młodzieży na początku były w miarę moż- liwości jednakowe. Kto skorzysta, niech zyska.

W kwestii budżetu na socjal (dla wyznawców PiS: „pieniądze rządowe”): nie przewiduję odkrycia pod ziemią, tą ziemią, fantów, po które starczy się wwiercić czy sięgnąć koparką i zrobić kokosy. Bo to z tego gdzieniegdzie starczą na socjal. Kultura jego konsumpcji jest u nas taka, że zbyt często pro- wadzi do degeneracji i w efekcie patologii, nieco wybiórczo gromionej w poprzednim artykule Iko- nowicza. Prawdopodobnie jest to pochodna ogólnego braku kultury pracy.

Nie jestem zajadłym przeciwnikiem płacenia na czyjś bombelki, jestem przeciwko medialnemu

ustawianiu ich rodzicom przeciwko tym, którzy do ileś-set-plus się dokładają z krwawicy. Wolę płacić na dobrą szkołę dla bombelków i system wspiera- nia bombelków zdolnych, a nie na realnie potrzebu- jących, bez względu na wiek czy przychód.

Nie jestem kapitalistą. Brak mi genu przedsię- biorczości, robię głową u chemicznie czystych wyzyskiwaczy, którzy w sprawach pracowniczych (składki, tuczenie NFZ itp.) zdradzają objawy daleko posuniętego aspergizmu. Ale co tam ja – jednostka zerem.

Marzenie: socjaldemokracja i państwo mądre, selektywnie opiekuńcze, z szybko malejącym udziałem wpływów korporacyjnych na społeczeń- stwo. Realna praca zamiast rytuałów i pozoranc- twa, uzdrowiona kwestia mieszkaniowa. I kiwają- cy bolszewicki palec: kto nie pracuje, ten nie je.

Stratyfikacja jest nieunikniona, a definicji spra- wiedliwości społecznej jest (i powinno być) tyle, ilu ludzi. Człowiek po latach nauki, rozwoju i pracy powinien mieć poczucie, że jest lepszy od tych, co zbijali i zbijają bąki i w ramach równości mają dalej z góry cudzym kosztem.

Włodek Natorf

Auta umierały, tonąc



Fot. WOJCIECH GŁUCH

Masz samochód, którego nie potrzebujesz? Oddaj go powodzianom!

Fala powodziowa, która przeszła przez Stronie Śląskie, Łądek Zdrój, Głuchołazy i okoliczne wioski leżące tuż przy oszalających w tym czasie rzekach, zniszczyła domy, pola, dobytek. Zalała też samochody – a wiele zabrała i poniosła ze sobą.

Muł roboczy

Kiedyś przy każdym domu w tajni był koń. Ciągał wóz z kartoflami, rodzinę na niedzielną mszę do kościoła, a i siano czy owies, by mieć na to energię. Dzisiaj to samo robi samochód, choć odważnych, by zaprząć do niego pług czy bronę, nie ma... Wielkomiejskim często wydaje się, że w małych miejscowościach auto stoi przed domem dla podkreślenia pozycji i bogactwa. Z tego powodu nawet nie jest chowane do garażu. Nic bardziej mylnego. Ono stoi cały czas w pogotowiu. Gotowe do pracy. Przywieźć, podwieźć, dowieźć. Jak ten koń czy – za przeproszeniem – muł roboczy...

To znaczy tak było na wielu podwórkach do czasu wielkiej wody. Dzisiaj tam, gdzie udało się uprzątnąć zwały naniesionych śmieci i tego cuchnącego mułu, pusto.

– Trzeba było to widzieć i słyszeć, jak umierały, zatapiane w złowrogim szumie pędzącej nawałnicy tamtego wieczora – mówi Mariusz Burszta i głos mu drży.

Swojego 21-letniego SUV-a odstawił zgodnie z zaleceniami na pagórek powyżej. Przecież rzeka

tutaj występowała z brzegów nie raz. Żeby sięgnąć do tamtego miejsca, nigdy nawet nie śniła. Okazało się, jak to w życiu często bywa, że poczucie bezpieczeństwa jest czystą iluzją. Obok Mariusza postawili swoje auta sąsiedzi.

– Migotały światłami, jakby łapały ostatni oddech życia. Alarmy wyły o ratunek. Zdenerwowane wycieraczki szurały, bo zniemacka uruchomił im się dodatkowy tryb ostatniego namaszczenia. Zupełnie jak ludzie – wspomina Burszta.

Halo, ktoś tu łącz?

Maja Apponowicz jest byłą instruktorką narciarstwa. Kontuzja kolana wyeliminowała ją z ukochanego zawodu. Zimą ma szychty w biurze szkoły narciarskiej w Czarnej Górze, w odległości 12 km od domu. Teraz pracuje w wielkiej atrakcji Kotliny Kłodzkiej – Jaskini Niedźwiedziej. Ma 18 km w jedną stronę.

– W ten weekend właśnie ją uruchomiliśmy. Pozarywane drogi wysypano tłuczniami i można jakoś dojechać, nawet autokarem. Nawet sporo ludzi dotarło, chyba na wezwanie, by nie zostawiać powodzian, wesprzeć turystykę. Dla wielu to podstawowe źródło utrzymania w Kotlinie Kłodzkiej – opowiada Maja.

Sama nie dojedzie do pracy ani autobusem, ani pociągiem, bo wszystkie publiczne połączenia dawno tu polikwidowano. Dlatego samochód w tych rejonach nie jest żadną fanaberią. Na co dzień jest kwestią życia, w częstych przypadkach – zdrowia, a w szczególnych – i śmierci.

W tamtą niedzielę rano swoim Fordem Focusem, rocznik 2005, usiłowała przedostać się do szpitala. „Poszkodowanemu” – tak mówi o ojcu ich siedmioletniej córki – wypadł bowiem bark i strasz-

liwie cierpiał. Nie działały żadne telefony. Kiedy wjechała w głębszą nieckę, auto stanęło. Uciekała, a woda sięgała kolan i szybko podchodziła wyżej. Dopiero wieczorem udało się przedostać do szpitala w Polanicy – na własne ryzyko i odpowiedzialność, jak zastrzegli pilnujący drogi żołnierze. Tam wreszcie dostali pomoc.

„Poszkodowany” mieszkał w Stroniu, w jednym z trzech bloków przy ul. Nadbrzeżnej, które po przerwaniu tamy ucierpiały najbardziej i grożą zawaleniem. Teraz specjaliści od górnictwa wtyskują im w fundamenty zastrzyki z betonu. Może uda się je uratować. „Poszkodowany” więc nadal przebywa kątem u bylej i dziecka, bo do bloku nie wolno nikomu wejść. Zresztą po co, jak nie ma tam w tej chwili prądu ani... wody.

Maja myśli, żeby jednak reanimować Focusa. Znajomy, jedyny mechanik w okolicy, ma plac zawalony takimi pojazdami. Mówi, że najwcześniej zabierze się do roboty za 2–3 miesiące. Do pracy trzeba dojeżdżać, dziecko do szkoły zawieźć i odebrać. Mówi się, że odległości tutaj w górach trzeba liczyć podwójnie. Maja jest ostatnią, która by się skarżyła.

Byłe tylko jeździło

– To było moje ukochane autko. Składałam długo, przed Wielkanocą kupiłam. Za 19 tysięcy, trzy poszły dodatkowo na wymianę zużytych elementów. Robocizna gratis, bo mąż złota rączka – mówi Agnieszka Jarecka ze Stójkowa. Też Ford Focus, rocznik 2016. W wakacje stał, bo priorytetem był rower, z którego trzeba korzystać, kiedy tylko się da. A lato tego roku było nadzwyczajne. Czas, żeby się nacieszyć autem, przyszedł we wrześniu – wtedy zaczęła dojeżdżać do pracy w przedszkolu w Stroniu Śląskim.

Ich dom stał przy dużym wiadukcie. Zrobił się zator z tego wszystkiego, co niosła rzeka. Zalało ich do pierwszego piętra. Utonął także męzowy dostawczak – pracuje w budowlance – utonęło auto syna, a w garażu wypieszczone BMW E39, auto, jak to się tu, mówi „do kościoła”. Mąż kupił z pracy w Niemczech. Nie jeździł żaden. Elektronika cała poszła, wszystko stoi w mułe, silnik zalany, tapicerka. Wykupione tylko OC, jak u wszystkich.

21-letni zalany śmierdzącym mułem SUV Mariusza Burszty stał na placu razem z innym złomem zwożonym przez ekipy uprzątające. Właśnie w poniedziałek, kiedy z nim rozmawiałem, przyjechał człowiek, zapłacił grosze i wtarmosił wrak na lawetę.

– Będę rozglądał się za czymś – mówi Mariusz. – Nie potrzebuję niczego ekstra ani nowego, bo to koszty. Byłe tylko jeździło. Czasy się zmieniły. Nie

da się bez auta dojechać do powiatu w Kłodzku czy lekarza. Nie da się wyrejestrować auta w wydziale komunikacji w Bystrzycy Kłodzkiej, jeśli się tam nie dotrze osobiście...

Straciłem samochód podczas powodzi, ale musiałem go sprzedać na stacji demontażu pojazdów, żeby móc kupić inny samochód, którym mogę się poruszać po Łądku-Zdroju, gdyż przebywam 2 kilometry od mojego mieszkania, a Łądek ma przejeżdżną jedną drogę. Bardzo dziękuję za kontakt i informacje, ale może znajdzie Pan rodzinę, która będzie potrzebowała bardziej samochodu. Dziękuję bardzo – napisał do mnie Patryk Baran.

Podaruj samochód powodzianom

Seweryna Basiaka znam dobre 30 lat. W sobotę 14 września jeszcze wszedł na Śnieżnik. Woda płynęła po szlaku i przez buty po kostki. Jest stamtąd, czyli ze Stronia Śląskiego, Nowego Gierałtowa, Ołdrzychowic i w zasadzie całej Kotliny Kłodzkiej. Zna tu wszystkie i nadzwyczajnie zaangażował się w pomoc.

– Jestem śmiertelnie zmęczony – mówi po trzech tygodniach, choć głos mu kipi energią.

W poniedziałek 7 października przysłał listę kilkunastu rodzin, które utraciły auta. Maja, Patryk, Mariusz, Agnieszka...

– Odbudowanie takiej straty dla nich jest praktycznie niemożliwe. Jest w Polsce z pewnością wielu ludzi, dla których podarowanie auta – dodajmy: używanego, ale sprawnego – może stanowić piękny gest, bez wielkiego uszczerbku na sytuacji finansowej.

We wtorek: *Cześć, dostałem jeszcze adresy kilku rodzin: Trzebieszowice 39a, Trzebieszowice 77a, Trzebieszowice 92/2.*

Pytam, gdzie ewentualni darczyńcy mogą się zgłaszać?

Seweryn Basiak na Facebooku.

Jeśli ktoś nie ma FB, ale ma samochód do oddania – prosimy o kontakt z redakcją. Przekażemy, pokierujemy.

...

Sytuacja jest dość poważna, bo straciłem całkowicie wszystko, co dotychczas miałem. Zostały mi tak naprawdę gołe ściany, nawet bez instalacji elektrycznej i wodnej, gdyż też była uszkodzona. Ale nie wiem na chwilę obecną, czy chcę aż tak to nagłaszać, może są rodziny, które bardziej potrzebują pomocy – tuż przed oddaniem tekstu do druku napisał do mnie Patryk Baran...

WOJCIECH GŁUCH

Mamy nowego wroga publicznego

Bóbr, honor, ojczyzna!

Powódź się skończyła, czas zająć się ważnymi sprawami, choć znów blisko wody. *Będzie dobrze, panie bobrze* – skłamał gładko premier Tusk, wycofując się z niedawnej zapowiedzi eksterminacji gatunku *Castor fiber*, który to zebrał bęcki za stan wałów przeciwpowodziowych. Nie z nami te numery, panie premierze.

Cel

Czasami trzeba wybierać między miłością do zwierząt a bezpieczeństwem miast, wsi i stabilnością wałów. W ramach przepisów robć wszystko, co niezbędne – powiedział szef rządu do samorządowców podczas sztabu kryzysowego w Głogowie 21 września. Doradcy premiera (bo przecież nie on sam) musieli być srogo zdziwieni falą wkurwu, która zmyła z mediów tę powodziową. Pal lichu (bądź wbił na pal) ekspertów i wrednych ekologów, na odsiecz bobrowi ruszyła ulica, tam, gdzie wszystkie bitwy mają ostateczne rozstrzygnięcie – w internecie. Bobra zaczęła bronić też prawica, chociaż im się pokićkało i do rzewnych postów wstawiali zdjęcia pizmaka. Tak czy siak premier holocaust gryzoni musiał odwołać. Jaki morał z tej historii? Premier może i zjadł zęby na wałach, lecz o bobrach i przyzmach przeciwpowodziowych wie

niewiele. Co gorsza, zapewnienia o pokojowych zamiarach Tuska bobry mogą sobie wsadzić między żeremia.

Obwinianie gatunku *Castor fiber* o kiepski stan wałów jest jak robienie z dupy puzonu – można, ale z mizernym efektem.

Naukowe fakty mówią same za siebie: bobry nie mieszkają na wałach ani w wałach. Nie dlatego, że są wybredne i nie podoba się im widok z nory. Jak sam nazwa wskazuje, wały przecipowodźniowe spełniają swoją funkcję, kiedy jest powódź, czyli wtedy, gdy podchodzi pod nie woda. Szczęście w nieszczęściu, że takie sytuacje mają miejsce niezwykle rzadko. Bóbr zaś potrzebuje wody jak warszawiak stacji metra, nie osiedlił się zatem w miejscówce, z której przez pół dnia będzie popierdalał do rzeki. Jeśli jakimś cudem w wale trafi się bobrzy apartament, znaczy to tyle, że konstrukcja styka się z korytem rzeki i nie

jest odpowiednio zabezpieczona siatką, co świadczy źle o nasypie i urzędasach, a nie o gryzoniu.

Pal

Bóbr jest w Polsce gatunkiem częściowo chronionym, ale gdyby go zapytać o zdanie w tej kwestii, zapaliłby papierosa i ciężko westchnął. Niby na podjęcie szeroko pojętych działań przeciwko tym pożytecznym stworzeniom potrzeba państwowego glejtu od Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska (RDOŚ), ale analiza pozwoleń na odstępstwa od ochrony bobra europejskiego nie pozostawia złudzeń – częściowa ochrona zabezpiecza interesy bobrów jak stosunek przerywany przed ciężą. Sprawie przyjrzało się Stowarzyszenie Nasz Bóbr, a pod lupę wzięło okres od stycznia do czerwca 2023 r. Wnioski nie napawały optymizmem. Analiza wykazała, że uzyskano łącznie 277 decyzji z 15 województw na unicestwienie osobników *Castor* bądź ich siedlisk. Pozwolenia są wydawane zwykle na okres od trzech do pięciu lat, co oznacza, że przez badany okres sześciu miesięcy obowiązywało wiele decyzji wydanych wcześniej. I tak w ciągu pół roku do RDOŚ wpłynęły wnioski o zneutralizowanie 1176 bobrów. Statystyka jest bezlitosna – mając na uwadze, że państwowy glejt na odstrzał jest ważny średnio trzy lata, można założyć, że obecnie obowiązują 7056 wyroków śmierci na zębatach skurkowańców. Pod-

miotami wnioskującymi o pozbawienie bobrów pulsu są głównie przedsiębiorstwa związane z hodowlą ryb, samorządy, Lasy Państwowe oraz osoby fizyczne i rolnicy. Za demolowanie siedlisk bobrów, czyli tam i żeremi, odpowiadają głównie jednostki zarządzające wodami powierzchniowymi PGW Wody Polskie, Lasy Państwowe, spółki wodne oraz samorządy. Rzekomy kryminal na karku bobrów bazuje na konkretnych paragrafach: zalewanie łąk, pól i innych terenów (65 proc.), dalej niszczenie dróg, lasów, wałów (najczęściej obwałowań stawów hodowlanych), sadów i drzew. Do tej grupy śmiało można by dorzucić inflację i wzrost zachorowań na parchy weneryczne, a to dlatego, że tylko 4 proc. pozytywnych decyzji na „odstępstwo od ochrony” bobrów wydanych przez 15 struktur RDOŚ w okresie sześciu miesięcy zostało poprzedzonych oględzinami urzędników.

Wydawane decyzje są – cóż za zaskoczenie! – sprzeczne z ustawą o ochronie zwierząt. Okres godów bobrów przypada na styczeń i luty, młode rodzą się w maju lub czerwcu, zezwolenia na niszczenie tam i odstrzał zwierzaków są zazwyczaj wydawane do 15 lub 30 marca. Niestety, ciężarne samice nie podróżują na osiołku w towarzystwie cięśli rogacza, więc łapią kulkę albo tracą schronienie. Mało humanitarne sposoby rozwiązywania bobrego „problemu” okazują się zupełnie nieskuteczne, ponieważ zniszczone tamy i żeremia są natychmiast odbudowywane kosztem kolejnych ściętych drzew.



Daj bobrze

Na chuj nam bobry? – mógłby zapytać ktoś, kto z ignorancją obnosi się na znak dominacji. Tamy bobrowe spowalniają i blokują ruch wody, przyczyniając się do powstawania rozlewisk i zbiorników wodnych o zwiększonej retencji wód, osadów i składników odżywczych. Regulują warunki hydrologiczne, uwalniając wodę w czasie suszy i magazynując w okresach jej nadwyżki. W dodatku na utrzymanie bobrów – w przeciwieństwie do Wód Polskich – budżet państwa nie wyłożył w ubiegłym tylko roku 1,75 mld zł.

Bobry w celu uzyskania dostępu do pożywienia i budulca drążą kanały poprzeczne przez równiny zalewowe, dzięki czemu poprawiają ich łączność oraz strukturę i dynamikę geomorfologiczną. Tamy i stawy bobrowe działają jak filtr, bo zatrzymują ogromną ilość materii. Badania naukowe wykazały, że stawy bobrowe są szczególnie skuteczne w wyłapywaniu azotanów, dlatego mogą być dobrym sposobem na ograniczanie ilości związków azotowych ze źródeł rozproszonych w krajobrazie rolniczym. *Castor* ma ogromny wkład w przywracanie ekosystemom ich naturalnych funkcji i struktur, i to za zupełną darmoszkę. W średniowieczu wierzono, że jądra bobra mają właściwości lecznicze. Wedle starodawnych zapisów, gdy myśliwy ścigał zwierzę, by zdobyć jego klejnoty, bóbr odgryzał swoje naturalia i rzucał je w twarz myśliwemu. Zaspokojony zdobyczą człowiek odchodził, a zwierzę uchodził z życiem. Gdy okaleczony bóbr znów wpadał w ręce myśliwego, demonstrował mu podogonie, by pokazać, że nie ma po co na niego polować. Panie Tusk, proszę pokazać, że i pańskie jaja mają wartość i ucywilizować status bobra, bo to nasze bobro narodowe.

IDALIA DUBICKA



Szkoła do remontu

Laurka na Dzień Edukacji Narodowej

W moim portfelu obok innych kawalków plastiku znajduje się legitymacja nauczycielska, a dokładniej nauczyciela akademickiego. Z okazji Święta Edukacji Narodowej, zwanego popularnie Dniem Nauczyciela, naszły mnie pewne refleksje jako osobę, która w systemie edukacji odgrywała bardzo różne role. Uczęszczałam do wiejskiego przedszkola za komuny (oczywiście, za kapitalizmu zlikwidowano tę placówkę, a budynek stoi i niszczeje), potem do paru szkół podstawowych i ogólniaka w dużym mieście, następnie zaliczyłam studia magisterskie i doktoranckie, a na końcu od parunastu lat przyszło

mi uczyć studentów z Polski, Europy, Azji i nawet Afryki.

Tak jak irańscy inżynierowie, którzy badają strącone amerykańskie drony, aby metodą tzw. inżynierii wstecznej dojść do tego, jak je zbudowano, tak ja swoją opowieść zacznę od końca.

Akademicka tragedia

Przynajmniej od ćwierć wieku trwa narzekanie na poziom studentów i ich podejście do studiowania. I wciąż słyszę od kolegów i koleżanek z całego kraju, włącznie z renomowanymi uczelniami (Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński), że nie tylko jest mega chujowo, ale że jest z roku na rok coraz gorzej.

Wkurwia mnie takie gadanie.

I studenci, i wykładowcy, mówiąc po marksowsku, są całokształtem stosunków społecznych. To, jaki świat fundujemy dzieciakom mającym lat parę czy paręnaście – my, pokolenia starsze, ich rodziców i dziadków – jest przerażające. Że na studia trafiają ludzie przyrośnięci do smartfonów, myślący stadnie, nie-

zdatni dłużej się skupić – wszystko to jest smutnym faktem. Lecz nie przez nich zawinionym, o czym przypominają mi też coraz częściej przedkładane przez studentów zwolnienia lekarskie od psychiatry...

Uważam, że wielkim oszustwem i skurwysynstwem jest udawanie, że po jakimś szumnie zwanym kierunkowi typowi stosunki międzynarodowe w Słupsku czy też zarządzaniu w Chujowie Podlaskim rynek pracy czeka na absolwentów z otwartymi rękami i zassie ich jak sprawna pracownica seksualna napalonego klienta. Coraz mniej osób w to wierzy i dobrze, ale podtrzymywanie tej fikcji jest po prostu szkodliwe. I nieuczciwe.

Ze słabo skrywanym rozbawieniem obserwuję, jak młodzi ludzie są w szkole, gdy ich pytam o to, co myślą na dany temat, a także gdy mówię coś, co stoi w sprzeczności ze stanowiskiem wyrażonym w książkach. W końcu od dziecka ich się uczy, że są klucze odpowiedzi, w które trzeba się wstrzelić, nawet gdy są z dupy wzięte i sztampowe tak, że żęby bołą.

Pani profesor i mierna uczennica

Obok paru stopni celujących (z historii i wiedzy o społeczeństwie) na moim świadectwie maturalnym widnieje ocena mierna (czyli dwójka w sześciostopniowej skali) z fizyki. Pamiętam, jak mi serce kołatało, w gardle było sucho i starałam się najniższą pochylić głowę, aby pani od fizyki mnie nie wzięła do odpowiedzi. Z każdego sprawdzianu standardowo bania, zagrożenie na koniec roku i robienie skruszonej miny, by zmiękczyć serce nauczycielki. Później słusznie uznano, że ocenę mierną przemianuje się na dopuszczającą.

Najlepsze, co dla mojej edukacji zrobiła matka, to pisanie mi usprawiedliwień, gdy bałam się jakiegoś sprawdzianu z matematyki czy chemii. Jakoś to się potem zaliczyło, sinus cosinus, daj Boże trzy minus. Zabawne, że im wyżej wspinałam się po szczeblach edukacji, tym wyższą miałam średnią – na studiach magisterskich wyższą niż w ogólniaku, a na doktoranckich otrzymałam same najwyższe noty, nie licząc oceny dobrej plus z egzaminu z angielskiego. Doktorat obroniłam z wyróżnieniem.

Gdybym poświęcała więcej czasu rozwiązywaniu zadań z ilomaś tam niewiadomymi, wkuwaniu skomplikowanych wzorów, nie miałabym tyle czasu na robienie tego, co kochałam – czytanie książek o historii i polityce. Zamiast lektury „NIE” marnowałabym cenne godziny na zajmowanie się jakąś budową chlebi modrej. Ucieszyłoby to moje nauczycielki, ale mnie by się zapewne nie przysłużyło najlepiej...

Od każdego wedle możliwości, każdemu według potrzeb – ta reguła Marksa powinna być wyryta nad drzwiami każdej placówki edukacyjnej, od żłobka po uniwersytet.

Nauka rzeczy zbędnych, uczenie się na pamięć dat czy wzorów, które można sobie sprawdzić w 0,2 sekundy w internecie, to strata czasu i marnowanie ludzkich zasobów. Człowiek jest istotą twórczą, nie odtwórczą.

Pensje nauczycielskie są tak żenujące, że do zawodu trwa permanentna selek-

cja negatywna, czego ofiarą padła moja córka, gdy w pierwszej klasie w mającej niezłe notowania szkole podstawowej pani robiła błędy w... dzieleniu wyrazu na sylaby. Nie będzie szacunku dla fachu nauczycielskiego, gdy wynagrodzenia będą tak marne, że aż śmieszne, a w pokojach nauczycielskich będzie roić się od idiotek i baranów nienadających się do niczego, a na pewno nie do edukowania innych.

Kuracja odchudzająca i wzmacniająca

Polskie szkoły – nie tylko te dotknięte powodzią – nadają się do generalnego remontu. Ich gmach jest zmurszały i przypomina sen wariata w psychozie: każdy przy nim coś dłubie, tu robi dobudówkę, tam zmienia część dachu, pozmienia ściany działowe (niepotrzebne zamieszanie z gimnazjami). Poniewierane jak suki nauczycielki – bo kobiety stanowią zdecydowaną większość kadry – muszą zmagać się nawet nie tyle z politykami, dyrektorką i bachorami, lecz rodzicami często mającymi nierealistyczne oczekiwania wobec ocen swych pociech.

Szkoły są skansenem i skamieliną, opresyjnym, frustrującym, utrwalającym podziały społeczne i płciowe miejscem, w którym bardziej chujowo od uczniów czują się tylko czasami nauczyciele. Podstawy programowe na poziomie podstawowym i ponadpodstawowym są tak nieżywcowe i opasłe, że jedyne, co rozwiąże ten węzeł gordyjski, to jedno cięcie: operacja bariatryczna, aby usunąć szkodliwy nadmiar tkanki szkolnej. Szkoła musi być fajna, ucząca żyć w coraz szybciej zmieniającym się świecie, zachęcająca do samodzielnego myślenia. Tego bez forsy i bez pieczołowicie przemysłanych zmian uwzględniających głosy uczniów i nauczycieli nie da się przeprowadzić.

Niestety, koalicja uśmiechniętego serduszka, zajęta generałami, bronią i tarciami wewnętrznymi, nie ma w kwestii edukacji, od żłobków po uniwersytety, nic do zaoferowania poza szukaniem taniego pokłasku w postaci zmniejszania lekcji religii, gdy lada dzień nie będzie w ogóle chętnych na ten przedmiot dodatkowy... Plus patriotyzm i przysposobienie wojskowe, co jest pomysłem godnym PiS-u.

I tu lewica, mocno nadreprezentowana w humanistyce i naukach społecznych, ma pole do popisu, ale nawet najstarsi górale nie pamiętają, kiedy zaproponowała i wdrożyła coś sensownego, co bardzo pomogłoby obywatelom, zwłaszcza tym zbyt młodym, aby głosować...

Zanim – o ile, w ogóle – nastąpią potrzebne zmiany w edukacji, moim hasłem na dziś jest: szkołę chciałoby się kochać, ale na razie trzeba ją pierdolić!

Z.J.

Jak państwo żeruje na studentach Staż z hipokryzji

Dziennik „The Brussels Times” podaje, że w całej Unii Europejskiej 45 proc. ofert studenckich praktyk zawodowych nie przewiduje żadnego wynagrodzenia, a 67 proc. z nich nie zapewnia uczestnikom zabezpieczenia socjalnego takiego jak np. ubezpieczenie zdrowotne. Polska w tej kwestii nie odstaje od unijnego trendu – połowa ofert stażów nie przewiduje zapłaty i raczej nic nie wskazuje na zmianę.

W trakcie kampanii wyborczej do Parlamentu ubiegający się o mandat z list współzrządzającej Polską Nowej Lewicy Robert Biedroń powiedział: *Kiedy młodzi ludzie kończą edukację, w wielu państwach, w tym w Polsce, proponuje się im bezpłatne staże i praktyki. Wykorzystuje się ich, aby miesiącami pracowali dla swoich pracodawców.* Po chwili dodał: *Robią to nie tylko biznesy, ale też instytucje publiczne i samorządowe.* Wraz z resztą partyjnego koleżeństwa zapowiadał walkę o wprowadzenie na poziomie unijnym stosownych regulacji, by położyć kres wyzyskiwaniu studentów.

Postulat był – jak to często bywa – niemożliwy do zrealizowania. Parlament Europejski nie ma kompetencji do tworzenia wiążących aktów prawa UE i wyczerpał już swoje polityczne możliwości nacisku, uchwalając w lecie 2023 r. rezolucję

wzywającą unijnego ustawodawcę do zakazania nieodpłatnych praktyk na terenie wspólnoty. Wydawałoby się, że Nowa Lewica powinna w takiej sytuacji podjąć działania na krajowym podwórku, szczególnie że od 10 miesięcy współrządzi.

Bądź zmianą, którą chcesz ująć w świecie – miał powiedzieć kiedyś Mahatma Gandhi. Robert Biedroń i członkowie jego ugrupowania widocznie nie wzięli sobie tych słów do serca.



Nieodpłatne praktyki nadal stanowią u nas podstawową formę pozyskiwania młodych talentów do pracy w sektorze publicznym,

a staży dla studentów nie oferuje tylko fikcyjne Ministerstwo Przemysłu. We wszystkich pozostałych resortach przewidują one na ogół pracę w pełnym wymiarze godzinowym, pięć dni w tygodniu, w godz. 8.00–16.00, a młody człowiek na pieniądze nie ma co liczyć.

Wynagrodzenie przewidują trzy z 18 ministerstw, w tym jedno dowodzone przez polityka Lewicy Krzysztofa Gawkowskiego. Za pracę w pełnym wymiarze godzin w trakcie trwania roku akademickiego student może zarobić 3 tys. zł, a więc grubo poniżej pensji minimalnej. Wydawałoby się, że resortem, który najzacieklej winien walczyć z bezpłatnymi stażami, jest Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej dowodzone zresztą przez polityka Lewicy Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Jednak jak głosi oficjalna strona resortu pracy, praktyki są *co do zasady bezpłatne*. Podobnie w Ministerstwie Nauki rządzone przez posła Nowej Lewicy Dariusza Wierczorka i najsłynniejszego lewicowego landlorda Macieja Gdulę. Płatne staże oferuje wyłącznie resorty cyfryzacji, funduszy i polityki regionalnej oraz finansów. Instytucje samorządowe również nie są w tym zakresie przesadnie hojne.

Zdaje się, że po rozum do głowy poszła tylko prywatna inicjatywa, w której

standardem stało się oferowanie stażystom minimalnej płacy godzinowej.

Model biznesowy oparty na ciągłym napływie darmowej siły roboczej odszedł już do lamusa, a studenta harującego darmo u prywatniarza również najpewniej nazwaliby frajerem.

Ponadto oczywiste jest, że praca za darmo demotywyje, a dla młodych jest to tym bardziej frustrująca, że odbycie praktyki na ogół wymaga posiadania statusu studenta, co zmusza ich do całkowitej rezygnacji z czasu wolnego.

Mimo to instytucje publiczne nie oferują praktykantom absolutnie niczego – student pracuje za darmo, a po zakończeniu stażu często nie może liczyć na jakiejkolwiek preferencje w zatrudnieniu.

Na poczucie misji wśród młodzieży również nie ma co liczyć, bowiem zarządcy publicznych instytucji swoją postawą potrafią skutecznie sprowadzić na ziemię nawet najbardziej ideowego studenta. Powszechnie uważa się, że niskie zarobki w budżetówce rekompensują stabilne warunki zatrudnienia i rozmaite dodatki, jednak do pracy w instytucji państwowej najpierw trzeba człowieka przyciągnąć. A potencjalnym przyszłym pracownikiem państwo nie oferuje dziś niczego.

HUBERT CEZARY WYSOCKI

Niech żyje wojna!

Generalskie brednie

To jeszcze jest głupota, czy już zdrada? – takie myśli kołatały się pewnie niejednej osobie, gdy dotarły do niej słowa szefa Sztabu Generalnego, gen. Wiesława Kukuły, wygłoszone podczas inauguracji nowego roku akademickiego we wrocławskiej Akademii Wojsk Lądowych (czytaj obok – „Mózdzek Tygodnia”).

Zacznijmy jednak nie od tego, co powiedziano, ale gdzie padły te słowa, bo nie jest to bynajmniej bez znaczenia.

Tu krótka nauka, zabawy kupa

Wydaje się, że w generalskich wynurzeniach zabrakło tylko podkładu muzycznego i piosenki z serialu „Czterej pancerni i pies”. Na marginesie, kapitalne „Deszcze niespokojne” są o tyle na temat, że Akademia Wojsk Lądowych (AWL), największa i najstarsza w kraju szkoła wojskowa – znana powszechnie jako „Zmecz”, bo jej korzenie sięgają Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki – kształci następców Janka Kosa. Choć medialnie AWL znana była bardziej z buntu wkurwionych podchorążych (na kampusie uczelni płonęły ogniska, z okien akademików leciały stoiki z moczem), czystek politycznych wśród kadry wykładowców za PiS-u i niskiego poziomu kształcenia.

Najsmakowitsza była jednak afera Agnieszki Taurogińskiej-Stich, pracowniczkii dydaktyczno-naukowej, która jako pierwsza w historii miała obronić doktorat na AWL-u. Jak czytamy na portalu Siły Zbrojne: *Badala ona kompetencje przywódcze wśród podchorążych wojskowej uczelni. Wynikało z nich m.in., że zaufanie do przełożonego wśród podchorążych w ciągu studiów spada o 41 proc., szacunek do symboli narodowych o 35 proc., a lojalność wobec przełożonego o 25 proc. Sądziła, że wyniki posłużą do poprawy sytuacji na uczelni i będą podstawą do zmian.* Władze uczelni nakazały... zmienić wyniki badań, a gdy Taurogińska-Stich odmówiła, straszono ją konsekwencjami prawnymi i kontrwywiadem wojskowym.

Chciałabym się też podzielić doświadczeniem mojego kolegi ze zmechowcami, i to nie byle jakim, bo czołowymi wykładowcami, poznanymi na konferencjach naukowych, które organizowali we Wrocławiu. Poziom intelektualny kadry wojskowej (cywilnej jest chyba ciut lepszy) wykładowców, zdaniem kumpla, rozpościera się między dramatem a tragifarsą. Najbardziej ze spotkań akademickich – nie licząc sprośnych kawałów i ślinienia się na widok kobiet – zapamiętał on historię pana, który przed rozpoczęciem konferencji organizowanej w hotelu przy hali Orbita tak się najeł wódką, że grupa podchorążych musiała go wnieść do pokoju, za co ten im podziękował żołnierskimi słowami: *Spierdalajcie.*

Ja na tym terenie, wicie, drugi po Bogu

Jedną rzecz można wykluczyć. Gen. Kukuła nie zwariował i nie jebnął – jak to się mówiło w czasach mojej podstawówki – jak łysy grzywka o kant kuli. A może inaczej: zapewne w tym szaleństwie jest metoda, ale zarazem w tej metodzie jest szaleństwo.

Od czasu wybuchu wojny za wschodnią granicą polskie media się dobrowolnie, systematycznie i bezrefleksyjnie poddały militarystyce. Wojskowi czynni i w stanie spoczynku są wyroczniami w sprawach wojny, obronności, wydatków publicznych, a nawet – jak ostatnio gen. Roman Polko w „Gazecie Wyborczej” – specjalistami od męskości. Na marginesie, rozmowa z byłym dowódcą „Gromu” o męskości wiele wyjaśnia: facet ma być samodzielny, między 18. a 20. rokiem życia, *musi się dowiedzieć, kim jest, I – jak to mówią Amerykanie – „popływać z rekinami”, żeby odkryć w sobie pokłady odwagi i to, na co go stać.*

Co z tego wynika? Jak człowiek ma fuchę pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej, to wszystko, co powie, jakkolwiek by było idiotyczne i kuriozalne, ma swoją wagę w przestrzeni medialnej. Nie lekceważyłabym jednak słów gen. Kukuły, nie muszą one wszak świadczyć, że jest – jak Kubaś Puchatek – misiem o bardzo małym rozumku. Wręcz przeciwnie. Postrzegam szokującą wypowiedź szefa Sztabu Generalnego jako część brutalnej gry o rząd dusz w społeczeństwie, pozycję armii w kraju, a nade wszystko zasoby budżeto-

we. Bo jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

Ten trop wydaje się o tyle sensowny, że warto mu poświęcić nieco uwagi, gdyż – czego nie sposób wykluczyć – właśnie jesteśmy świadkami brudnej gry, której celem jest obrabowanie nas z pieniędzy na edukację czy zdrowie, aby przeznaczyć je na bezsensowne zbrojenia.

A ty oddaj krajowi, co mu się należy

Nieomal w dokładnie tym samym czasie co stwierdzenie o tym, że czeka nas wojna, wypowiedział się minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Ukuł on nową frazę: *dziura Błaszczaka*. Nie jest to byle jaka dziura, bo sięgająca 500 mld zł. Na profilu MON-u w mediach społecznościowych wyliczano, że poprzedni szef resortu nie uwzględnił wszystkich kosztów związanych z cyklem życia sprzętu wojskowego: brak offsetu, brak infrastruktury, brak lub płytka polonizacja produktu, brak planu szkoleń, brak uzbrojenia.

W jednym przyznają Kosiniakowi-Kamyszowi rację: PiS trwonił pieniądze na niewyobraźną skalę, wydawał krocie na zbrojenia, które nijak nie przyczyniały się do zwiększenia potencjału obronności kraju. Ale gwałtowny sprzeciw budzi wniosek, jaki szef PSL-u z tego wyciąga, dziękując za *potrzebny ogromny wysiłek polskich podatników* i chwaliąc się, że Polska wyda najwięcej na armię w całym NATO. Bo on, dzielny Włodek, będzie – kurwa, przecież nie ze swoich pieniędzy! – zasy-pywał *dziurę Błaszczaka*.

Jest taki dowcip, że najlepszym prezentem dla wroga jest kupienie mu samej lalki Barbie. Bo obdarowany będzie musiał latami dokupywać jej koleżanki, Kena, domki, samochody, koniec końców wydatek pierwotny, ta nieszczęsna lalka, to będzie pikus w obliczu kasy, jaką pochłonie wszechświat

Barbie. Dokładnie tak samo jest ze sprzętem wojskowym. Sam koszt zakupu sprzętu nie stanowi więcej niż 25–30 proc. koniecznych wydatków. Na utrzymanie go w gotowości bojowej, modernizację, zapewnienie odpowiedniej infrastruktury, szkolenie żołnierzy do jego obsługi itd.zawsze wydaje się wielokrotnie więcej niż na broń samą w sobie.

MÓZDZEK TYGODNIA

Wszystko wskazuje, że jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w rękę w obronie naszego państwa. I nie zamierzam ani ja, ani myśle żaden z was, przegrać tej wojny. Wygramy ją, wrócimy i będziemy nadal budować Polskę, ale coś się musi wydarzyć: musimy zbudować siły zbrojne przygotowane do tego typu działań – powiedział...

Marszałek Edward Śmigły-Rydz w trzydziestym dziesiątym? Janek czy Gustlik, którzy do domu wrócą, w piecu napalą, nakarmią psa? Gdyby nie „Polska” w tej wypowiedzi, to mogliby ją wygłosić admirał Isoroku Yamamoto w obliczu cesarza lub feldmarszałek Wilhelm Keitel, klękając przed wodzem.

Nie. To powiedziane w październiku 2024 r. słowa Wiesława Kukuły, generała, szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, pierwszego dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej.

Skąd się biorą tacy militaryści jak Kukuła? Stąd, skąd się bierze każdy militaryzm. A skąd się bierze militaryzm? W obecnej Polsce przede wszystkim z Błaszczaka i Kosiniaka-Kamysza. Z Kaczyńskiego i Tuska.

A teraz garść liczb, które unaoczniają dobitnie, na co Polska się porwała. Wedle oficjalnych amerykańskich danych godzina lotu – kupionych przez nasze siły zbrojne – samolotów F-35 to 34 tys. dolarów, a roczne utrzymanie – 6,8 mln dolarów. Koszt jednej rakiety balistycznej ATACMS, której używają wyrzutnie HIMARS (których zamówiliśmy więcej, niż w ogóle dotąd wyprodukowano!), to między 1,3 a 1,7 mln dolarów.

Pokaż ci, żeś nikim

Kiedyś wojskowi mieli swój honor. Gdy japoński cesarz Hirohito, wbrew dowódcom, ogłosił konieczność kapitulacji, wojskowi się popłakali. Jeden z generałów, który poprosił uprzejmie monarchę, aby powtórzył, że zamierza się poddać, a cesarz to uczynił, uznał, że jedynym, co może uczynić, jest samobójstwo.

Gen. Kukuła, który po swej wypowiedzi – jeśli była niezgodna z linią rządu – powinien zostać w trybie natychmiastowym zdymisjonowany, ma się doskonale. Co każe poważnie się zastanawiać, czy nie reprezentuje on oficjalnej linii władzy.

Gdyby jednak Tusk mniemał, że wojna jest pewna, że konieczna jest mobilizacja wszystkich sił społeczeństwa i państwa, to jego działania byłyby na wskroś irracjonalne. Bo na dzień dobry należałoby przywrócić pobór do wojska, najlepiej – jak w Izraelu – przymusowy nie tylko dla mężczyzn, ale i dla kobiet. Wreszcie by się ucieczyły te wszystkie ministery walczące o równouprawnienie... A tymczasem koalicja uśmiechniętego serduszka buduje CPK, elektrownię jądrową, myśli o igrzyskach olimpijskich. Jeśli tak wygląda przygotowanie do nieuchronnej wojny, to żyjemy w jakimś domu dla obłąkanych i jesteśmy jak te karpie, które gremialnie głosują na rzecz przyspieszenia Bożego Narodzenia.

Swego czasu Janusz Korwin-Mikke w przebły-sku rozum, jaki nawet jemu się niekiedy zdarzy, powiedział o politykach: *większość to idioci, ale na czele stoją cwani oszuści*. Ciekawe, czy to samo można rzec o polskich wojskowych. Potrafią oni straszyć społeczeństwo, co na dłuższą metę jest nie tylko obrzydliwe, ale z gruntu niebezpieczne, przyczyniające się do postrzegania bezpieczeństwa rodem z XIX w.

Zatem trzeźwe prognozy są takie: Kosiniak-Kamysz z błogosławieństwem Tuska (że o producentach broni nie wspomnę) będzie trwonił pierdyldiardy złotych na broń. A te wszystkie piękne koreańskie czołgi K-2, jedne z najdroższych na świecie, będą sobie stały na świeżym powietrzu i będzie zżerać je korozja. Śmigłowcami Apache nie będzie miał kto latać. Polska, nie radząca sobie z hulajnogami elektrycznymi terrorizującymi pieszych na ulicach miast nigdy nie będzie w stanie stworzyć infrastruktury, która uczyni z zakupionej broni coś więcej niż tło dla zdjęć generałów.

W ostatniej instancji mogą powtórzyć za inżynierem Mamoniem z „Rejsu”: *No i kto za to płaci? Pan płaci, pani płaci, my płacimy, to są nasze pieniądze.*

KATARZYNA KOENIG

Śródtytuły pochodzą z „Piosenki trepa” Kazika.



Analfabetyzacja rządu

Nowe, światłe władze edukacyjne ani nie są nowe, ani światłe.

Gabriela Olszowska jest małopolskim wynalazkiem ministry Barbary Nowackiej na odtrucie tamtejszego szkolnictwa po „świeckiej ręce abp. Jędraszewskiego”, czyli pisowskiej kurator Barbarze Nowak. Interesującym wynalazkiem, który właśnie zrobił coś, na co nie wpadła pisowska kurator oświaty – Olszowska bowiem zarządziła analfabetyzację sześciolatków.

Niedorozwinięta ręka

I otóż w tym roku szkolnym dzieci z małopolskich przedszkolnych zerówek nie wolno uczyć pisać. Przedszkola dostały zakaz nauczania o literach. Żeby tylko... Nauczyciele dowiedzieli się też, że bardzo niewskazane jest, by dzieci miały uczyć pisać podręczniki. Takie ze szlaczkami i rysunkami, które w innych województwach są używane nawet wśród dzieci młodszych niż sześciolatki. Książeczki te nie dość, że są przeznaczone dla maluchów w różnym wieku, to na dodatek mają akceptację resortu oświaty.

Atakowana przez nauczycieli, rodziców i media Olszowska idzie w zaparte. *Nie wydałam żadnego zakazu i to, o czym rozmawiałam z nauczycielami przedszkoli, trudno też nazwać „zwyczajnymi”.* *Ja po prostu przypominałam pedagogom pracującym na tym etapie edukacji, jaka jest podstawa programowa w przedszkolu i na co kładzie nacisk. Nie jest to nacisk na pisanie i na wypełnianie zadań z podręczników. W przedszkolu nie powinno się akceleroować nauki pisania. Ręka 6-latka jest mniej rozwinięta niż ręka 7-latka – wyluszcza swoje racje małopolska kurator oświaty. Dowodząc tym samym, że stoi na stanowisku tych wszystkich, którzy uważają, że polskie sześciolatki są niedorozwinięte. W związku z czym, zamiast łączyć do przedszkola, powinny siedzieć z babcią i wkuwać paciorki.*

A przecież już kilkanaście lat temu rząd umyślił sobie, że Polakom trzeba wydłużyć okres aktywności zawodowej. Znaczący czas, przez który będą opłacali ZUS i podatki. Można to było zrobić na dwa sposoby. Z pierwszego, czyli podniesienia wieku emerytalnego, Tusk jeszcze wtedy zrezygnował. Drugim sposobem miało być wpuszczanie na rynek pracy ludzi młodszych.

Wystarczył prosty zabieg: skrócić szczeniakom przedszkole i puścić je do szkoły w wieku sześciu lat. Rodzice od 2009 do 2011 r. mogli wybierać: posłać sześciolatka do pierwszej klasy, czy zostawić w zerówce. We wrześniu 2012 r. wszystkie sześciolatki miały zacząć naukę z siedmiolatkami.

Miały, ale nie zaczęły. Po pierwsze dlatego, że szkoły podlegały gminom, po drugie ministrem edukacji była Katarzyna Hall, a po trzecie pojawił się ruch „Ratuj maluchy”.

Kopanie się z sześciolatkiem

Na pomysł tego ostatniego wpadli Tomasz i Karolina Elbanowscy, w 2008 r. szczęśliwi posiadacze czwórki progenitury. Wykorzystali nieudolność gmin w przerabianiu szkół do potrzeb maluchów i totalne nieradzenie sobie z oświatą przez panią minister. Podłali to historycznym sosem i wygrali. Udało im się w ciągu paru lat wcisnąć ludziom, że szkoła to dla sześciolatka coś gorszego niż holocaust.

We wrześniu 2009 r. do pierwszej klasy poszło 4,2 proc. wszystkich sześciolatków. Rok później już 9,4. W 2011 r. Elbanowscy słabo agitowali albo rodzice kapnęli się, że lepiej dzieciaka puścić teraz do mniejszej klasy niż za rok, kiedy pierwszaków będzie dwa razy więcej – pierwszakiem został więc co piąty sześciolatek. We wrześniu 2012 r. frekwencja maluchów znowu spadła, tym razem do 17,6 proc. Rok później było ich jeszcze mniej. Popsucie się statystyk nie powinno dziwić, bo było prostym wynikiem braku jaj w PO.

Najpierw dwa tygodnie przed wyborami, w połowie września 2011 r., ówczesna minister edukacji Katarzyna Hall ogłosiła, że obowiązkowo do szkoły w 2012 idą tylko sześciolatki urodzone do sierpnia. Potem rząd odpuścił wszystko i przesunął termin obowiązku szkolnego dla sześciolatków na rok 2014.

Elbanowscy jednak nie odpuszcili. Dorobili się kolejnej dwójki dzieci i fundacji o nazwie Rzecznik Praw Rodziców.

Ministerstwo Edukacji też nie marnowało czasu. W ciągu paru lat wszystkie pięciolatki wylądowały w przedszkolach i twardo realizowały zajęcia przysposabiające je do podstawówki.

Ale rodzice wciąż mieli wybór. Polegał on na tym, czy dzieciaka ma powtarzać w zerówce to, czego uczył się przez ostatni rok przedszkola, czy przestać być analfabetą.



Rys. HENRYK CEBULA

Największym idiotyzmem w tym wyborze było jednak to, że polegał on na tym, czy dziecko posłać do pierwszej klasy, czy do zerówki, która była w tejże samej szkole. Tak się bowiem porobiło, że aby zrobić zadość obietnicom Tuska o nowych miejscach w przedszkolach, wywalono z nich niemal wszystkie sześciolatki do szkół.

Cwane posunięcie polegające na tym, że rodzic miał wybór między szkołą a szkołą, zakładało, że jak dzieciaka i tak prowadzało się do szkoły, to niech się przynajmniej uczy. Jak widać z ówczesnych statystyk, zaufanie do logiki Polaków można było sobie darować. Ponad 80 proc. wołało, żeby ich dzieci rysowały szlaczki, podczas gdy ich rówieśnicy w klasie obok uczyli się podstaw pisania na murach słów „Smoleńsk pomścimy”.

Sześciolatki z zerówek zgodnie z ówczesnymi minimami programowymi nie mogły się uczyć pisać, czytać i rachować. To oburzało rodziców, bo maolaty truły im tyłki, żeby dowiedzieć się czegoś o literach. Tatusie i mamusie biegli zatem do dyrekcji, żeby coś w programie zmienić, i tam słyszeli, że wyboru już dokonali. Chcieli dzieciństwa dla swoich pociech, to je mają.

Jak zatem wyglądała gehenna sześciolatków? Miały 3–4 godziny zajęć dyktando. W każdej godzinie najwyżej 20 minut merytoryki, bo dłużej maluch i tak by nie zakuł. A potem na dywan i zabawa.

Nauczyciele zerówek i klas pierwszych mieli zgodne opinie – pierwszaki miały lepiej. Zamiast się nudzić, przyswajały jakąś wiedzę. Łatwiej je było mobilizować i panować nad zachowaniem.

Najciekawsze, że rodzice też o tym wiedzieli. Ale Elbanowskim udało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Powstała presja społeczna. Polega ona na tym, że babcie i dziadkowie domagali się, żeby wnusio lub wnusia mieli dzieciństwo. Sąsiadki, z młodzieżą w wieku licealnym, też załamywały ręce nad sześciolatkami niewiniątkami prowadzonymi na szkolną rzeź. To samo było słychać w pracy. Wychodziło na to, że żeby posłać dzieciaka do szkoły, trzeba się postawić światu.

Maluchy uratowane

Obligatoryjny termin puszczania sześciolatków do pierwszej klasy wszedł w końcu w 2014 r. Nie na długo, bo rok później wybory wygrało PiS, do którego już wcześniej przykleili się Elbanowscy.

Gdy małżeństwo „ratujące maluchy” zaczęło swoją wojnę z sześciolatkami, głosiło hasła dotyczące nietratowania malutkich dzieci przez starszych, opowiadało o prawie dziecka do dłuższego dzieciństwa (cokolwiek to miało znaczyć), truło o zbyt wysokich ławkach, umywalkach i kibelkach. Gabaryty mebli dostosowano do

maluchów, a zdeptanie nigdy nie wystąpiło. Ale jak wiadomo, dla PiS najbardziej liczył się wyborca ze wsi. A na wsi żłobki i przedszkola nie były ich zdaniem potrzebne. Gdyby było inaczej, rząd

Szydło w życiu nie zdecydowałby się na to, żeby sześciolatki wróciły do przedszkoli. Ale wróciły i zajęły miejsca dla dzieci trzyletnich. Dla mieszkańców wsi żłobek i przedszkole były wymysłem miastowych. Statystyki to potwierdzały. Ledwie 15 proc. dzieci z terenów wiejskich korzystało z oświaty przedszkolnej. A większość z nich to potomstwo urzędników gminnych, nauczycielek czy pracowników nielicznych działających tam firm. Chłopskiej progenitury w takim przybytku się nie uświadczyło.

Nic zatem dziwnego, że od 1 września 2016 r. polskie dzieci w wieku sześciu lat objęte są obowiązkiem przygotowania przedszkolnym, a od 7. do 19. roku życia mają spełniać obowiązek szkolny.

Przy przywracaniu szkoły dla siedmiolatków porobiło się po pisowsku, czyli bez sensu. Przecież wszystkie ówczesne sześciolatki przez poprzedni rok zaliczały zerówkę. Wskutek debilnego przepisu przywracającego dawny wiek szkolny, siedmiolatki musiały więc przerabiać ten sam materiał.

Roczne zastopowanie w rozwoju intelektualnym w tym wieku to według pedagogów zbrodnia na dzieciach. Ale widać PiS-owi i Elbanowskim nie chodziło o to, by produkować jednostki chłonnące wiedzę, tylko słuchające.

Zabawne jest też to, że Elbanowskim wcześniej szło ponoć o to, żeby sześciolatki nie były narażone na kontakt z dziećmi o parę lat starszymi. Do takiego zaś kontaktu mogło dochodzić w szkole podstawowej. Argument oczywiście był durny, choćby z tego powodu, że najmłodsze klasy w każdej szkole były oddzielone od klas starszych. A w wielu placówkach pierwszaki były odgródzone nawet od drugo- i trzecioklasistów. Tymczasem PiS zlikwidowało gimnazja i bez sprzeciwu Elbanowskich dzieciątka o rok starsze od sześciolatków jeły się w tej samej szkole stykać z niemal dorosłymi 15-latkami. Potem było już tylko gorzej i mimo niżu demograficznego pojawiły się podwójne roczniki w szkołach średnich. Polska szkoła w rankingach edukacyjnych zaczęła lecieć w dół. I gdy przyszła władza udająca, że ma na kłapę edukacji pomysł, to dzięki kuratorce Olszewskiej okazało się, że Elbanowscy rządzą.

Tymczasem sześciolatki są pierwszoklasistami w znakomitej większości krajów europejskich. Pod ten wiek skrojono nawet unijny program DiscoverEU. Oferuje on młodzieży w wieku 18 lat możliwość podróżowania po Europie. A to w ten sposób, że jak 18-latek z kraju unijnego złoży aplikację na stronie programu i opisie trasę, którą w ciągu paru tygodni chciałby pokonać, to dostaje darmowe bilety kolejowe na całą taką wyprawę.

Co mają 18-latkowie wspólnego z sześciolatkami? Otóż to, że gdy ich rówieśnicy z kra-
jów, gdzie zaczyna się szkoła w wieku sześciu lat, będąc po pierwszym roku studiów, śmigają w wakacje za darmo po Europie, ich rówieśnicy z Polski tygodniami czekają na wynik matury, a potem przez kolejne tygodnie męczą się z naszym porąbanym systemem przyjęć na studia. O wożach mogą zapomnieć. Szczególnie wi-
dać to w ostatnich latach, gdzie młodzi ludzie puszczeni przez rodziców do podstawówki w wieku siedmiu lat byli w tych samych klasach co ci startujący rok wcześniej. I nie ma się co dziwić, że ci pierwsi nader nieparlamentarnymi słowami czepiają się rodziców za ich głupią decyzję sprzdać lat.

TADEUSZ JASIŃSKI

Że 70 milionów, że pięć tysięcy ofiar, że osiem zarzutów, że 20 lat więzienia – to już wszyscy wiemy. Ale jak to się stało, że człowiek, który dysponował 20 lat temu kapitałem 300 mln zł, obecnie poszukuje znajomych, którzy pożyczą mu milion, aby mógł wyjść na wolność. Nie jest to takie oczywiste dla większości średnio zarabiających. I jest to poważna okoliczność łagodz-
ząca zarazem dla samego pożyczającego.

Palikot był człowiekiem wielkich biznesowych sukcesów. Potem nimi znudzony, bo wyczerpał swoje możliwości, zapragnął polityki, gdzie – uważał – ugrać da się więcej. Nie w sensie finansowym. Idąc w sejm, sprzedał akcje swoich przedsiębiorstw. Żył z powstałych w ten sposób oszczędności. Przez pewien czas uposażenia parlamentarnego nie pobierał.

Mimo medialnych wytrysków w gruncie rzeczy kariera polityczna z Biłgoraja to jednak fiasko. Prezydentem nie został. Jego partia nie miała nigdy żadnego realnego wpływu na losy kraju. Z europarlamentem też tak naprawdę nie wyszło. Nic dziwnego, że zapewne posłuchał rady swojego przyjaciela Henryka Wujca, który miał rzec: *Janusz, na co ci ta polityka? W biznesie jesteś lepszy.* Palikot wrócił zatem, skąd przyszedł: do pędzenia trunków wysokokowych, co w tym kraju zawsze się sprzedawało.

Nie chcieli pić

I tu właśnie leży pies pogrzebany. Oto bowiem mamy paradoks: wódka sygnowana nazwiskiem Palikota, mimo że reklamowana z rozmachem godnym rzymskich cesarów, nie znalazła dość liczного grona amatorów, aby pokryć koszty hucznej kampanii i samej produkcji alkoholu.

Ja nie wiem czemu i, co gorsze, Palikot też tego nie wiedział, mniemając, że trzeba nacisnąć na pedał. Inwestować w propagandę alkoholizmu coraz więcej pieniędzy, których osobiście już nie miał.

Jak się nie ma, a chce się odegrać, to trzeba pożyczyc. Najłatwiej od chciwych, czyli obiecując odsetki mało realne w stosunku do rynkowych, opowiadając o wysokiej stopie zwrotu, jaką daje dębowa beczka bimbru po trzech latach. Teoretycznie się wszystko zgadzało, tyle że zamiast zajmować się takimi prozaicznymi sprawami jak produkcja, dystrybucja, rozliczanie należności, Palikot musiał się gimnastykować, żeby poprzednich wierzycieli zaspokoić pożyczkami od kolejnych.

To dziś nazywane jest piramidą finansową, ale raczej nie ona była intencją. Nadzieja umiera na końcu, więc na pohybel niedowiarkom wreszcie zła passa musi pofolgować, a koło fortuny się odkręcić. A może przerwać? Zapewne też tak w domu Palikota się myślało. Tylko co wtedy? Zostać z gołą dupą?

Metamorfoza czy klatka?

Sytuacja stała się niepokojąca, zaczynamy sobie zadawać pytanie, co się dzieje i gdzie jest nasz klient – powiedział „Gazecie Wyborczej” Jacek Dubois, pełnomocnik Janusza Palikota. Spieszymy z wyjaśnieniami.

Wciąż jeżeli chodzi o Areszt Śledczy we Wrocławiu przy ul. Świebodzkiej (ongis Więzienna), w którym Janusz obecnie przebywa, jest on doskonale skomunikowany z resztą miasta i świata. Od Dworca Głównego dzieli go 17 minut spacerkiem monumentalną Aleją Józefa Piłsudskiego.

Pruski sznyt i nowoczesność

Sam Areszt Śledczy zlokalizowany jest w dawnym kompleksie sądowo-więziennym wybudowanym w drugiej połowie XIX w. To neogotycki majstersztyk. Budynek jak z Harry’ego Pottera: czerwona cegła, wieże, blanki, pseudostrzelnice. Klimat jak z Dickensa.

Projektantem był Carl Ferdinand Busse, niemiecki architekt, który urodził się tylko po to, aby stawiać więzienia. W latach 40. XIX w. podróżował po Szwajcarii, Francji i Holandii, gdzie poświęcił się studiowaniu architekttoniki zakładów odosobnienia. Całą swoją wiedzę, doświadczenie, talent, twórczą intuicję, miłość włożył w tę – jak ją ongiś zwano – „Wrocławską Bastylię”.

Struktura budynków aresztu wzorowana była na anglosaskich zakładach karnych należących w ówczesnych czasach do najnowocześniejszych. Budynki przypominają średniowieczne budowle typu zamkowego. Oddzielone są od reszty świata wysokim na trzy metry ceglany murem.

Budynek aresztu to w zasadzie trzy budowle na planie krzyża św. Andrzeja. Okna na trzy kondygnacje. Ośmioboczna hala centralna znajdująca się w centrum tego krzyża pozwala kławi-
szom sprawować kontrolę nad osadzonymi jak za najlepszych lat caratu.

Ta starodawna skorupa wewnątrz jest – jak by powiedział jej projektant – *ganz moderne eingerichtet*. Korytarze szerokie na trzy metry. Wyłożone szarym, wielkoformatowym gresem. Ściany w es-

**Od zera do milionera, od milionera do sejmu,
od sejmu do bimbru, od bimbru do zera.**

Objaśnianie Palikota

To wymagało opowiadania ludziom nie stworzonych rzeczy, jak to w reklamie bywa, że wytknę pana Wojewódzkiego chrzaniecie, iż spółka z Palikotem zabezpieczy jego i wiele pokoleń jego następców. Problem w tym, że Kuba Wojewódzki raczej nie ma własnych dzieci.

Nazwać to się da przestępstwem, ale poczytajcie sobie prospekty emisyjne tych wszystkich firemek, które wchodzi na giełdę NewConnect, jakie to one będą miały za trzy lata zyski. Wskaźniki przychodów rozpoczynają się w okolicach mocnej depresji, a potem są Tatry, Alpy i Himalaje. Większość znanych potentatów tak zaczynało. Biznes oparty jest zawsze początkowo na lipie i niezłomnym przeświadczeniu lidera, że ma misję, intuicję i to musi się udać. Niestety znamy tylko tę nieliczną diaspore, która się wzbili. O milionach gojów, którzy, myśląc w identyczny sposób, zamilkli na wieki, Business Insider oraz „Puls Biznesu” milczą.

Niewątpliwie Palikot też nie miał zbyt pomyslnych wiatrów. Podnoszenie przez jego mecenas Jacka Dubois, że sprawa jest nieco polityczna, nie jest bezpodstawne. Wiadomo nie od dziś, że między Kaczyńskim a Palikotem krewka nienawiść wrzała. Można Kaczyńskiego nawet w jakimś sensie usprawiedliwić i zrozumieć, że nigdy nie podawał Palikotowi ręki.

Reklama reklamie nierówna

Zatem się okazało, że Palikot z Wojewódzkim reklamowali wódkę w internecie, a ją można reklamować tylko niekiedy, a ten internet czynny jest 24 godziny na dobę. Ewidentne przestępstwo, tyle że Bruce Willis reklamował Wyborową przez całą dobę, błyszcząc się z przydrożnych pylonów i jakoś nie siedzi. Że Krzysztof Ibisz pojawiał się w koszulce Żubrówki *odkrywając swoją dziką naturę* gdziekolwiek bądź, również nikomu nie zaszkodziło. Bogusław Linda nadal reklamuje

70 MILIONÓW...
PRZECIEŻ TO TYLKO
JEDEN SASIN!



w błąd, też jakoś tak wybiórczo patrzy na rzeczywistość.

Gdybym był kapusiem, to mógłbym garnitur podobnych zwodniczych nagabywań przytoczyć.

A że ten z UOKiK jest od Morawieckiego, no to wniosek mecenasa Dubois jest logiczny i uzasadniony.

Mieliśmy jeszcze cowied (kiedy knajpy były zamknięte). Ta wojna to też koniunktury w rozrywce nie napędza. No i atmosfera stała się napięta.

Palikot jedne obietnice spłacał następnymi, a kolejne dyskontował obietnicami zabezpieczonymi na prawach autorskich do jego talentu. A wódka, jak na złość, się nie sprzedawała, choć on bardzo ją o to prosił.

Teraz są tacy mądrzy, że to już dawno było wiadomo, a prokuratura powinna go chcieć wsadzić

dwa lata temu. Dlaczego tego nie zrobiła? Ponieważ myślano tam tak jak Palikot. Jeżeli teraz nagle przemyślimy, to ludzie nigdy nie odzyskają swoich pieniędzy, ale widać, że facet się stara, więc kto wie? Głupi, niekompetentny i nieuczciwy raczej nie jest, a przy tym filozof.

Milion za wolność

No i właśnie osiągnęliśmy masę krytyczną, kiedy doniesienia wierzycieli zasypywały prokuraturę jak kartki z życzeniami noworocznymi Pałac Buckingham. Nie można było dłużej udawać, że się nie wie. Chodziło też o przepchnięcie odpowiedzialności, no bo to w końcu sąd podejmie decyzję.

Biedny ten sędzia między młotem a kowadłem postawiony. Nic dziwnego, że wyrok zapadł taki ni z gruszki, ni z pietruszki. Salomon by się nie pogniewał: jeżeli do końca października Janusz znajdzie takich, co mu zaufają na kolejny milion, no to niech wyjdzie, działa dalej, a nuż się odbije. Nałożenie bezwzględnej aresztu byłoby wyrokiem na owych pięć tysięcy wierzycieli. Zatem przez trzy tygodnie wszyscy mają spokój.

Skoro Janusz Palikot nie ma nawet głupiego miliona, by wykupić samego siebie, pytanie jest, co się stało z owymi 70 milionami?

Po pierwsze jest to kwota z odsetkami, jakie wierzyciele mieli od Palikota dostać, więc podzielmy to na trzy i przemnożmy przez dwa to, co wyjdzie, czyli de facto strat jest czterdzieści parę milionów. Część poszła do urzędu skarbowego jako podatki od tego i tamtego oraz wynagrodzeń za robotę za bezdurno zatrudnionych ludzi. Trochę skapnęło ZUS-owi.

Ale naturalnie najwięcej dostali ci, którzy na tym zarobili. Jest to spora grupa, jak zawsze to w piramidach finansowych bywa, ta która weszła w biznes pierwsza. Pięć tysięcy poszkodowanych, ale beneficjentów, o których się nie mówi, było pewnie ze dwa tysiące, które swoje 30–40 baniek zgarnęli. Siedzą cicho.

A dlaczego tak się stało? Ano dlatego, że wszyscy mieli w oczach tylko znaki dolara, jakby biznes to była jakaś gra w trzy karty. Chodziło wyłącznie o pieniądze i to dla siebie, ktokolwiek byłby tym sobą. Przedsiębiorczość niepełnie na tym polega.

Wielu straciło, ale nie wszyscy. Jakkolwiek by się to skończyło, Janusz Palikot stracił najwięcej, bo wszystko. Pierwszy przegrany.

Ot, i cała prawda o upadku człowieka, który chciał być kimś więcej niż tylko producentem wódki.

ROBERT JARUGA

Twierdza szczęścia

tetycznej, praktycznej jasnej szarości, doświetlone jasnym światłem jarzeniowym, powodując, że osadzeni mają tu poczucie nieograniczonej przestrzeni. Zwłaszcza że wewnętrzne dziedzińce wysoko się są na trzy kondygnacje aż po dach.

Zespół budynków jest pojemny prawie jak Hotel Gołębiowski w Mikołajkach. W skromnych, ale nie minimalistycznych celach może oczekiwać na sprawiedliwość 756 osadzonych. Obłożenie obiektu na teraz szacowane jest na 79 proc. Tłoku nie ma.

Dźwiękochłonność starodawnych murów jest taka, że cicho jak w klasztorze. W lecie nigdy

zbyt gorąco. Śniegową porą ciepłotę zapewnią nowoczesny, sterowany komputerem i opalany peletem system ogrzewania. Postulat ekologiczności realizowany jest przez fotowoltaikę zainstalowaną na dachach.

Najważniejsze jest zdrowie

Areszt wrocławski – jak żaden inny – ma szpital psychiatryczny. Pacjentami są tymczasowo aresztowani, poddawani obserwacji sądowo-psychiatrycznej. Oraz skazani z zaburzeniami psychicznymi wymagający diagnostyki i leczenia. Dyżurujący przez całą dobę trzej specjaliści mogą udzielić natychmiastowej pomocy cierpiącym na klaustrofobię, syndrom odosobnienia, natrętne poczucie winy tudzież inne zaburzenia, jakie mogą się pojawić u zdrowych ludzi, którzy nagle znaleźli się w takiej placówce.

Nad kondycją osadzonych czuwa ambulatorium. Na oddziałach są gabinety przyjęć oraz dwie izby chorych. Zaplecze medyczne to gabinet stomatologiczny oraz zabiegowy. Pracownicy RTG, EEG, EKG wyposażone w nowoczesny sprzęt. Mamy też tu ośrodek diagnostyczny, w którym wykonywane są analityczne badania medyczne.

Do dyspozycji pensjonariuszy jest 11 świetlic rozlokowanych w oddziałach mieszkalnych wyposażonych w stoły do ping-ponga, piłkarzyki, wielokanałową telewizję oraz gry świetlicowe.

Jest siłownia, salka teatralna. No i co najważniejsze: aresztowani mają możliwość skorzystania z posługi religijnej. Udzielane są praktyki dla wiernych wyznań: rzymsko-ka-

tolickiego, grecko-katolickiego, prawosławnego, Kościoła Chrześcijan Baptystów oraz Świadków Jehowy. Kapelan więzienny Robert Zukowski organizuje spotkania dla skazanych i ich bliskich oraz pielgrzymki do Trzebnicy, Barda, Henrykowa, Kłodzka.

Po opieką „Leśnego”

Biblioteka więzienna ma ponad 10 tys. woluminów. Jest radiowęzeł, pracownia artystyczna, sala muzykoterapii. Niestety, przebywający w placówce – co w obecnych czasach jest gorsze niż powódź – nie mają dostępu do internetu. Szkoda, bo chyba niejedna osoba chciałaby ostatnio tu osadzonym coś ciekawego na Facebooku napisać.

W areszcie odbywają się kursy zawodowe. Dzięki pieniądзом z programu operacyjnego można zostać mistrzem malarstwa budowlanego, brukarstwa oraz technologiem robót wykończeniowych.

Areszt wspierany jest przez Wrocławskie Towarzystwo Opieki nad Więźniami, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Biuro Porad Obywatelskich przy Uniwersytecie Wrocławskim, przedstawiciele Dolnośląskiej Intergrupy AA, Anonimowych Narkomanów, Centrum Edukacji i Pracy Młodzieży, Państwowe Pomaturalne Studium Kształcenia Animatorów Kultury i Bibliotekarzy. Dzięki tym zmasowanym wysiłkom ludzi dobrej woli możliwe jest kształtowanie postawy otwartości, tolerancji i poszanowania. Spotkanie, dialog i wspólne działania, zanik agresji i uprzedzeń, jedność w różnorodności, wzmacnianie więzi to zasadnicze cele resocjalizacji osadzonych w celach.

Więzienna drużyna piłki kopanej bierze udział w zawodach o Puchar Dyrektora Okręgowego Służby Więziennej w Opolu. Zawodnicy spośród osadzonych tworzą jedenastkę nazywaną „Orłami »Leśnego«”. Drużynowym strojem są czarno-białe pasiaste koszulki.

Kapitanem „Wrocławskiej Bastylii” jest mjr Andrzej Leśniewicz. Człowiek instytucja. Całe życie spędził w pierdlu. Przeszedł wszystkie szczeble kariery od kławisza do naczelnika. Zna te mury jak własną kieszeń. I ludzi też. Tych po drugiej stronie krat. Mówią, że Leśniewicz to człowiek z zasadami. Że twardy, ale sprawiedliwy. Że nie toleruje łamistrójki i nie daje się wkręcać w gry więzienne. Ale też że potrafi do-

cenic skrucę i pomóc tym, którzy chcą zmienić swoje życie.

Katharsis

Mógłbym tak jeszcze dalej i dalej, że nieopodal nad wrocławskim rynkiem góruje wieża bazyliki św. Elżbiety. Obok pomnik Aleksandra Fredry, fontanna Zdrój Wrocław, Plac Solny, uniwersytet oraz miejsce niezwykle i jedyne w swoim rodzaju: Panorama Racławicka, tyle że to nie o to chodzi.

Powiedzmy, że masz pięć tysięcy wrogów, którzy chcą od ciebie 70 mln zł, i trzech przyjaciół, którzy muszą uzbierać milion, żeby cię z tego aresztu wyciągnąć. Media, które szczują, szydzą, sarkają. No i masz w perspektywie 20-letni wyrok, w wieku lat 60, co oznacza, że wyszedłbyś około osiemdziesiątki.

Czy na pewno warto opuścić to najbezpieczniejsze miejsce w tym kraju? Czy nie lepiej się przyznać do niepopelnionego za wikt, opierunek oraz ochronę niż dostać kosę od jakiegoś zrozpaczonego nieszczęśnika, który mniema, że stracił przez ciebie oszczędności całego życia?

Co czeka cię na tak zwanej wolności, a co oferuje rzekome zniewolenie? Poślem już nie zostaniesz, partii własnej nie założysz. Na prezydenta kandydować nie będziesz. Premier nie będzie twoim przyjacielem, żona bardziej cię już nie pokocha, z Miłoszem się już wódki nie napijesz. Polski z krzyża nie zdejmiesz. Mogą ci odebrać Złoty Krzyż Zasługi i pozbawić honorowego obywatelstwa Biłgoraja.

Ale w takim klasztorze można na przykład napisać książkę, jak się umie pisać, a pisać się umie, i sprzedać ją w stutysięcznym nakładzie po 20 baksów sztuka. Starczy na dożywocie. A i nie zapominajmy, co powiedział Rafael Sabatini: *Nie mury tworzą więzienie i nie pręty klatkę.*

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

A GDY WYJDEMY,
BĘDĘ MIAK ZNIŻKĘ
NA WÓDKĘ?





Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Od początku transformacji ustrojowej, to jest brutalnego wprowadzenia kapitalizmu, dochód narodowy wzrósł trzykrotnie. Mówi się nawet o polskim cudzie gospodarczym. Tyle że ten przypływ nie podniósł wszystkich łodzi. Widocznie większość była dziurawa. Powody do zadowolenia ma górne (w sensie pieniężnym) 10 proc. społeczeństwa, gdyż posiadają oni 60 proc. całego majątku. Uboższa połowa Polaków zarabia 20 proc. PKB, podczas gdy górny 1 proc. przytula 15 proc. dochodów.

To gigantyczne rozwarstwienie powinno ludzi wkurzać, ale dopóki płacą rachunki i nie mają na głowie komornika, uważają się za klasę średnią. Mit klasy średniej i powszechnego dobrobytu starannie podtrzymują media. Co mnie obchodzi, że ktoś tam kupuje już drugie Porsche, skoro ja w tym miesiącu nie musiałem się zapożyczać i wszystko popłaciłem?

Tak jak w USA milionerzy, biznesmeni są bohaterami i nikt raczej nie pyta, jak traktują swoich pracowników. O stosunkach społecznych wiele mówią fachowcy, elektrycy, murarze, stolarze. Zwykle u tych bogatych to nawet herbaty nie proponują, a jak człowiek robi u ludzi niezamożnych, to nieraz i obiadem poczęstują.

Znamy stolarz, człowiek bardzo inteligentny i czytany, próbował często porozmawiać z szefem, właścicielem o możliwych ulepszeniach, czy w ogóle porozmawiać. Ale nigdy szef nie usiadł przy jednym stole, nie słuchał tego, co on do niego mówi. Zwykle te jego wysiłki, próby kontaktu spełzały na niczym, bo szef rozmawiał przez komórkę, był zajęty czym innym albo udawał, żeby tylko jemu, pracownikowi, nie przyszło do głowy, że są takimi samymi ludźmi. Pracował w bardzo wielum firmach i wszędzie było tak samo. Kantowanie na wypłacie i nieskrywana pogarda dla robola. Kiedy pomagałem temu „robolowi” w przeprowadzce, strasznie się nadźwigałem, bo nosiliśmy wielkie pudła z książkami. W większości były to traktaty filozoficzne.

Znam wiele osób, które podjęły własną działalność, żeby uniknąć poniżającego traktowania.

Z badań wynika, że najlepiej zarabiają przedsiębiorcy. I to oni są oczkiem w głowie każdej władzy. W czasie pandemii do nich popłynęły miliardy z tarczy antycydowej. Pracownicy mogli tylko mieć nadzieję, że dzięki tarczy ich nie zwolnią. Ale zwalniali. Znam mnóstwo osób, które za sprawą zwolnienia w pandemii popadły w długi. A tymczasem Związek Banków Polskich ogłosił, że na kontakcie firm leży bezytycznie 60 mld zł z tarczy antycydowej.

Teraz, kiedy władza zrezygnowała z sypania całymi szuflami pieniędzy deweloperom i bankierom w ramach kolejnych dopłat do kredytów hipotecznych, to nie dlatego, że futrowanie bogaczy powodujące zwykle dalszy wzrost cen mieszkań jest niemoralne, ale ze względu na powodzian. Ta wykrętna argumentacja sprawia, że można się jeszcze spodziewać dalszych programów w stylu: dajmy bogatym, bo biednym się nic nie należy.

Media są pełne pomysłów w tym właśnie stylu. Są całe kampanie medialne zmierzające do przywrócenia handlu we wszystkie niedziele. Przed tym pomysłem drżą pracownice handlu, ale wła-

da, która szła do koryta pod hasłem praw kobiet, nie pozwoli tym zapracowanym sprzedawczyniom zjeść niedzielnego obiadu z dziećmi w myśl zasady, że nie ma pracowników, są tylko konsumenci. Mają dużo kupować, a w niedzielę, dzień wolny, korporacje będą miały super utarg.

Skoro najbogatsi są przedsiębiorcy, to się im już teraz odejmie część składki zdrowotnej. A potem jeszcze, i tak aż wydoją z budżetu opieki zdrowotnej dziesiątki miliardów. Bo ci, którzy o tym decydują, nie czekają na SOR-ach po kilkanaście godzin w nadziei, że ktoś ich przyjmie i zacznie leczyć.

Zamożność to norma. W każdej reklamie widać zadowolonych, tryskających zdrowiem i energią ludzi w otoczeniu drogich sprzętów, w luksusowych domach i wnętrzach. Taka jest norma. Taka jest norma w ramach fikcji „wszyscy jesteście klasą średnią”. Gdy ktoś odbiega od normy i nie ma siły biegać i jeździć na rowerze po tygodniu ciężkiej harówki, często z nadgodzinami, to jest poniżany, wykiwany, pokazywany jak małpa w zoo.

Ostatnio zaproponowano mi udział w zbieraniu nieszczęśliwych, którzy ku uciecie gawiedzi wezmą udział w programie polegającym na tym, że biedna rodzina przeprowadzi się do mieszkanka bogatej i odwrotnie. Na jakiś czas, a po programie każdy wróci na swoje miejsce. Upokarzanie biednych ludzi stało się już formą rozrywki.

W programie telewizyjnym dziennikarz zapytał, czy klasa średnia jest ostoją demokracji liberalnej. Demokracja liberalna to taki system, w którym bogacenie się bogatych i biednienie niezamożnych nie stanowi żadnego problemu.

Ostoją tego niesprawiedliwego systemu, demokracji liberalnej, są ci, którzy wmawiają sobie, że są klasą średnią, a nie mają żadnych oszczędności i wystarczy byle jakie zdarzenie losowe, by znaleźli się na dnie.

Tej demokracji ostoją nie są natomiast ludzie pracy, którzy pożyczają u lichwiarzy, żeby jakoś przetrwać. Oni na razie pyskują. Ale przyjdzie moment, kiedy będą mieli dość. A wtedy te 10 proc., które zakosiło 60 proc. bogactwa, zacznie się bać. Nie o demokrację, rzecz jasna, tylko o swoje majątki. Oni zawsze w takiej chwili popierają jakiegoś Pinocheta, który z biedotą zrobi porządek. Dlatego, panowie posłowie, ministrowie, biskupi, nie martwcie się o nastroje klasy średniej. Martwcie się o to, w jakim są humorze ci, którzy za nędzne stawki robią na okrągło z nadgodzinami rzadko płatnymi zgodnie z Kodeksem pracy.

PIOTR IKONOWICZ

Voodoo dyma Tuska

Histeria wokół tubek z wodą zrobiła więcej dobrego dla branży spirytusowej w kraju nad Wisłą niż zastępy alkoholików do pięciu pokoleń wstecz.

Walka rządu Donalda Tuska o ograniczenie dostępu do alkoholu przypomina błądzenie pijanego we mgle: nie wie, czego się złapać, przesypia najlepsze momenty imprezy, a i z refleksem u niego kiepsciutko. Pomysł sprzedaży wódki w saszetkach (lub jak kto woli – w tubkach) pojawił się już w lecie. Akurat tak się przyjemnie złożyło, że kiedy na początku sierpnia minister finansów Andrzej Domański ogłaszał w mediach, że rząd rozważa podniesienie tzw. opłaty małpkowej, producent „małpki voodoo” ruszał z kampanią marketingową – pisaliśmy o tym w numerze 34/2024 tygodnika „NIE”, bo poapaliliśmy się szybciej niż politycy, że branża alkoholowa tak łatwo przetyłkom konsumentów wyschnąć nie da. Pomysł Ministerstwa Finansów, w przeciwieństwie do idei spółki OLV, która wprowadziła wódcane saszetki, był spalony na wejściu. Wszak o popularności setek i dwusetek nie decyduje cena, a dyskretne opakowanie. Słowo ciążem się stało: alkotubki pojawiły się w sprzedaży i dzięki zbiorowej obstrukcji polityków szybko z niej zniknęły. Nie szkodzi, bo kiedy wszyscy skupiali się na problemie podobieństwa procentowego specjału do opakowań musów owocowych, mydła i jogurtów, projektując w wyobraźni tłumy pijanych przedszkolaków i trzeźwych od pomyłek budowlanców, bokiem przejechała znacznie grubsza w skutkach oferta.

Alle wódy!

1 października serwis aukcyjny Allegro ogłosił, że jeszcze w tym miesiącu wprowadzi możliwość zakupu trunków przez internet. Największa platforma zakupowa w Polsce skorzystała z wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego z 2022 r., który uznał, że sklep stacjonarny sprzedający towary online nie traci prawa do sprzedaży alkoholu, ponieważ przepisy ustawy antyalkoholowej nie wskazują jedynej właściwej formy i sposobu zawierania umów jego sprzedaży. Nie zakazują też zawierania ich przez internet. Co więcej, NSA wskazał, że ustawodawca musiałby wprost zakazać takiej działalności ustawą. Tym sposobem, jak poinformowało Allegro w oficjalnym komunikacie, *od 21 października wybrani sprzedawcy udostępnią swoje produkty z tej kategorii*. Naturalnie serwis zapowiedział, że wprowadził szereg zabezpieczeń mających wyhamować zakupowe zapędy osób nieletnich, zaczynając od wieloletapowej weryfikacji wieku na samej platformie, a na do-

stawie kończąc. Niestety, nie będzie możliwości odbioru zamówień z paczkomatów czy w godzinach nocnych – dostawę alkoholu pod dom chętni zrealizują tylko w godzinach pracy kurierów. Dostarczający produkty kurier będzie miał za zadanie zweryfikować tożsamość, trzeźwość oraz pełnoletność kupującego.

Pomijając humorystyczny aspekt wizji dostawcy wyposażonego w alkomat lub odbierającego oświadczenie o trzeźwości od klienta, to świetna wiadomość dla uzbrojonych w dowód osobisty młodych przedsiębiorców z podwórkowych kółek dystrybucji dóbr dedykowanych pełnoletnim. Już teraz w social mediach z palcem w dupie można znaleźć namiary na lokalnych pośredników sprzedaży jednorazowych e-papierosów czy asortymentu z procentami, którzy za niewielką marżę przymkną oko na PESEL kupującego. O ile wygodniej będzie zamówić towar z dostawą pod drzwi, niż popierać z plecakiem na rowerze do najbliższego monopolowego. Ucieszą się też dorośli konsumenci: jak by nie patrzeć, obsługa kurierska jest bardziej dyskretna od personelu osiedlowego sklepu. A i za jednym zamachem można zrobić większe zakupy – opcja szczególnie wygodna dla niezmotywowanych lub tych, którzy stracili prawo za jazdę pod wpływem – i nie trzeba będzie przeciągać kregosłupa ani ścierać podeszew.

Ślepaki Leszczyny

Tymczasem Ministerstwo Rolnictwa ostro wzięło się do roboty, ale jak zwykle od dupy strony, i opublikowało projekt rozporządzenia określającego wymagania opakowań



ORYG. WATEL JAMEK

ETYKA BEZBOŻNA Wódko, pozwól rządzić!

Z rozbawieniem obserwowałem paroksyzm paniki moralnej, jaka ogarnęła rząd na wieść o sprzedawaniu alkoholu w tubkach przypominających saszetki z przecierami owocowymi dla dzieci. Czy to z lęku przez kanonadą pisowców, czy to mocą wilczego instynktu łowcy sondażowych punktów nasz Drogi Gospodarz Kraju przed kamerami telewizji posłał swojego człowieka w randze ministra rolnictwa, żeby zrobił z tym porządek. Ekonom ujął bat w tę mocarną dłoń, co to jest jak bochen chleba, i już leciał w gumiakach batożyć niegrzecznego producenta, lecz ten zawczasu położył uszy po sobie i zaskamlał, że będzie już grzeczny. I na tym cała afera się skończyła – producent rozślawił swe imię, a rząd wykazał się czujnością i pryncypializmem. Politycznie alkotubki okazały się bardzo przydatne, nam zaś pozostał do przemysłienia problem miejsca alkoholu w życiu społecznym oraz zasad jego produkowania, sprzedawania i reklamowania.

Temat nienowy i moralnie brzemienny, a w dodatku złożony i wielowątkowy. Warto do niego wracać, zwłaszcza na naszych łamach, które, jak mniemam, do niepijących nie należą. Ja też z niejednego kufła i naparstka już pijałem i swoje

za uszami mam. Ale między uszami głowę mam mocną! I to do tego stopnia, że nigdy w życiu nie byłem pijany (mimo szczerych starań). Być może właśnie z tego się bierze moja względna pobłażliwość dla alkoholu i współczucie dla tych, co to jakieś głupstwo zrobili pod jego wpływem. Ale ta pobłażliwość jest niesłuszną i staram się ją w sobie zwalczać. Coraz więcej wszak wiemy o szkodliwości picia, a ostatnio ta wiedza weszła na wyższy poziom. Po pierwsze zrozumieliśmy, że pomimo całej kulturowej swojskości i powszechności alkohol jest po prostu środkiem psychoaktywnym, czyli narkotykiem. Po drugie zaś naukowcy przekazali rozczarowującą nowinę, że nie ma czegoś takiego jak nieszkodliwe dawki alkoholu. Żadna tam „lampka czerwonego wina do obiadu” ani „zimne piwo na upały”. Małe picie też skraca życie!

Rządy różnych krajów od ponad stu lat walczą z alkoholem, wprowadzając różne restrykcje, by potem kolejne rządy mogły się z nich, przynajmniej częściowo, wycofywać. Najbardziej

Widelcem w oko

Europoseł Obajtek otworzył biuro poselskie w Mielcu. W dniu premiery nowych biurków (3 października) zużyty chłopiec z Pcimia dorwał się do mikrofonu. I postraszył szczurami, które mają okupować ulice Brukseli, a dalej zeżreć Ursulę von der Leyen, jak myszy zjadły w Kruszwicy Popielą.

Obajtek błysnął inteligencją, stwierdzając, że kwestie światopoglądowe nie są dobre dla gospodarki (za wp.pl). Nie, nie są za dobre czy może raczej bywają dobre (wszakże kwestia światopoglądowa kwestii światopoglądowej nierówna) dla ludzi, zwierząt, przyrody. Obajtek, uderzając w politykę ekologiczną UE, zdaje się nie pojmować, że gospodarka jest wtórna do Gai. Jak szlag trafi planetę, to już nikt tu nie będzie gospodarzył ani dobrze, ani źle.

Jak polscy królowie modlili się w katedrach, to oni skakali po drzewach. Jak chcą widzieć Europę czystą, to niech przyjadą do Polski, choćby nawet tu, i zobaczą Europę czystą, bo w tej Brukseli niedługo w śmieciach zginą i szczury ich zagryzą – perorował Obajtek, udowadniając, że można człowieka wyrwać z Pcimia, ale Pcimia z człowieka – już nie. W sumie to tro-

chę szkoda. Romantyzm lewicowy idzie się jebać – na drzewo właśnie. Eugenika, Towarzysze! Eugenika! I szczypta prymatologii. Doczytać trzeba.

Już nawet historię potrafią zakłamywać. Wystarczy iść do paru muzeów w Europie czy innych. Zobaczcie sobie, nazisci są jacyś ludzcy, my, Polacy, jesteście, jacy jesteście. Nauczyli nas co poniektórzy schodzić z drzewa, a tak naprawdę to my nauczyliśmy co poniektórych jeść widelcami – świadomie czy nieświadomie z tymi widelcami Obajtek przycyepiał się do Walezego. Henri de Valois przez troskliwą matkę został wypchnięty do Polski, aby dostać tron i rękę królową. W dodatku bez ubijania smoka. Jednak kiedy jego brat, król Francji Karol X, skonał, Henryk wiał nocą z Wawelu, aby objąć władzę po bracie, jakby gonił go nafaszerowany siarką i speedem szewczyk Dratewka. Polacy wciąż mu tego nie wybaczyli. Dodam, że wcześniej Bona Sforza błagała matkę (ach, te matki!), aby ta pozwoliła jej zostać starą panną w Bari zamiast królową w Polsce. Nie inaczej było ze św. Jadwigą Andegawenką. Miała objąć tron Węgier i hajtnąć się z Habsburgiem. To jej siostra Maria była przeznaczona

na tron Polski. Niestety mama (ach, te mamy!!!) wolała Marię od Jadwigi i młodszą pociechę wypchnęła do Krakowa. W ramiona Litwina, który ciągle wiał z Wawelu na Litwę, opuszczając piękną żonę. Również jego syn Kazimierz Jagiellończyk jako dopust Boży przyjął śmierć swojego brata króla – Władysława Warneńczyka – i ociągał się z powrotem do Krakowa jak tylko mógł. Najwyraźniej Litwini bardziej cenili sobie siedzenie, jeśli nie na drzewach, to pod nimi w Świętych Gajach, niż trwanie na Wawelu, który nawet po przebudowach przypomina bardziej budę dla psa niż zamek. I tak bywa. Nie należy jednak zapominać, że wszystkimi tymi ludźmi kierowały najpierw względy osobiste, a nawet intymne, a dopiero dalej wielka polityka. Wydawałoby się, że te czasy odeszły do lamusa z chwilą upadku większości rodów królewskich, że nie wspomnę o upadku systemu wasalnego i dalej – wprowadzeniu demokracji. Jednak najwyraźniej dla księżniczki Obajtka – nie! Chwilą prawdy była jednak Obajtowska wypowiedź: *my, Polacy, jesteście, jacy jesteście*. Czekam na więcej takich. I może się doczekam, bo europarlamentarzysta zapowiedział cykl spotkań pt. „Kawa z Obajtkiem”. Na te okoliczność zamierzam kupić sobie pejsachówkę!

IZABELA SZOLC

w zakresie niektórych alkoholi. W dokumencie zaznaczono, że alkohol o litrażu do 200 ml będzie sprzedawany tylko w butelkach lub puszkach, dodatkowo opakowania nie mogą wprowadzać w błąd i mają odróżniać towar od innych środków spożywczych, w szczególności dla dzieci.

Reakcja rządu przypomina zatem historie z przemysłem narkotyków, kiedy służby chwalą się przechwyceniem kutra ze 150 kg koksu, a w tle spokojnie przepływa tankowiec z docelowym załadunkiem.

Działania minister zdrowia Izabeli Leszczyny na ograniczenie narodowego ochłaju są – choć mogłoby się to wydawać niemożliwe – jeszcze bardziej groteskowe. Ministerstwo Zdrowia jak prawiczek do wycwiczonej kurtyzany zabiera się za przepisy, które miałyby wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych – na razie w godzinach nocnych. Leszczyna wydaje się być zdeterminowana, Polska Izba Paliw Płynnych też, ale żeby pomysł zdusić w zarodku. Jak zwraca uwagę PIP, według danych Ministerstwa Rozwoju i Technologii na liście zezwoleń na obrót alkoholem znajduje się ponad 195 tys. pozycji. Stacje paliw posiadają ok. 5,5 tys. glejtów, co stanowi ok. 2,8 proc. wszystkich zezwoleń. Jak słusznie zauważyła Izba, ograniczenia podmiotowe niektórych przedsiębiorców (czyli utracenie handlu wodą stacjom paliw) znacząco poprawia sytuację rynkową pozostałych podmiotów (nieobjętych zakusami Leszczyny). To zaś będzie stanowiło rażące naruszenie zasady równości przedsiębiorców wobec prawa. Już w lipcu Leszek Wiśniewski, prezes Polskiej Organizacji Przemysłu i Handlu Naftowego stwierdził, że proponowane rozwiązania budzą poważne wątpliwości pod względem zgodności z krajowym porządkiem prawnym, a w szczególności z wymogami konstytucji dotyczącymi zasadności ograniczenia praw przedsiębiorców. No ale skąd minister Leszczyna ma o tym wiedzieć, skoro w jednym z ostatnich wywiadów zapowiedziała wprowadzenie obowiązku sprawdzania wieku klientów wyglądających na niepełnoletnich,

argumentując, że obecnie sprzedawca ma tylko takie prawo. Dowcip plega na tym, że akurat polskie przepisy zakazują sprzedaży alkoholu gówniarzom. W praktyce taką osobą jest każda, której wiek budzi wątpliwości i która nie potrafi okazać dowodu tożsamości. Za złamanie przepisów grożą paragrafy: grzywna, areszt, ograniczenie wolności i utrata koncesji. Jest więc to obowiązek. Tyle w kwestii kompatybilności rządu ze znajomością prawa. Wiśniewski na torcie: przez aferę z wódczanymi szaszetkami Izabela Leszczyna odwołała dyrektora Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom (KCPU) Piotra Jabłońskiego, choć akurat ta instytucja nie miała instrumentów prawnych, żeby podjąć działania w tej sytuacji. He, he.

Hegemonia nieścistości

W ocenie prawników cała ustawa antyalkoholowa jest przestarzała, jej przepisy są zbyt ogólne i nie przystają do obecnych realiów rynkowych. Dodatkowo warto zaznaczyć, że ani Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ani Inspekcja Handlowa czy Inspekcja Jakości Handlowej nie są uprawnione do interwencji, gdy zachodzi podejrzenie, że wódczana ustawa jest naruszana. Organu administracji, który zajmowałby się kontrolą w tym zakresie, zwyczajnie nie ma. Nawet wspomniane KCPU nie może samo nałożyć kary pieniężnej na firmę, która łamie przepisy, tylko musi złożyć zawiadomienie do prokuratury. To samo tyczy się osób prywatnych czy organizacji. Jeśli sprawa w ogóle trafi na wokandę, procesy trwają długo, a spory zwykle i tak wygrywa przedsiębiorcy. Na koniec 2023 r. Allegro miało 14,6 mln aktywnych użytkowników, zatem chętnych na procentowo udane zakupy na pewno nie zabraknie.

Jeśli nawet rząd wprowadzi embargo na nocną sprzedaż gorzały na stacjach paliw, co bardziej sprytni i przedsiębiorczy właściciele alkoprzybytków rozkręca całodobową sprzedaż online z dostawą pod pyski klientów, powołując się na ten sam wyrok NSA co Allegro. W odróżnieniu od rządu lobby alkoholowe mocno trzyma się hasła, że dla chcącego nic trudnego.

IDALIA DUBICKA

znany przykładem jest amerykańska prohibicja, z której trzeba było się wycofać, ale coś podobnego znajdziemy niemal wszędzie. W Kanadzie na przykład przez wiele lat wódkę sprzedawano w papierowych torbach i nie wolno jej było eksponować na sklepowych półkach; potem jednakże z tego zrezygnowano. Generalnie jednak sprzedaż alkoholu podlega coraz ściślejszej kontroli. Wszędzie a to monopol, a to akcyza, a to koncesje na sprzedaż i wyszynk. Do tego ograniczenia związane z czasem i miejscem: nie wolno na stacjach benzynowych, w pobliżu szkół, nocą... I bardzo dobrze. Alkohol trzeba tępić tak samo jak papierosy. Kto nie palił trzydzieści lat temu? A kto pali dzisiaj?

I tu pojawia się bardzo ciekawa kwestia moralna: dlaczego jak coś jest złe, to nie robi się tego radykalnie i na raz, lecz stopniowo? Zakazać by wódki i po kłopotcie! Odpowiedź na to pytanie jest złożona, bo składa się na nią kilka elementów. Po pierwsze

człowiek jest wolny, a to znaczy, że ma prawo krzywdzić samego siebie. Jeśli chce się jego wolność ograniczyć w jakimś zakresie, to trzeba dać mu czas, aby to zaakceptował i nie odczuł jako gwałtu.

Po drugie często rzeczy złe występują w połączeniu z dobrymi. Mechaniczna eliminacja zła może wtenczas oznaczać stratę czegoś wartościowego, co oddaje popularny zwrot „wylać dziecko z kąpielą”. Gdybyśmy w jednej chwili utracili, dajmy na to, całą kulturę winiarską albo przestali wznosić toasty na cześć jubilatów, to byłby to jednak jakiś kulturowy gwałt,

czyż nie? Po trzecie, do zakazywania czegoś władza musi mieć mandat, czyli upoważnienie. Nie wystarczy, że zło jest złem. A czy społeczeństwo wyposażało wybrane przez siebie władze w taki akurat mandat? To bardzo wątpliwe. No i wreszcie po czwarte: jak się czegoś zakazuje, to trzeba mieć narzędzia, by ten zakaz egzekwować. Inaczej władza robi z gęby cholewę. Trudno zaś sobie wyobrazić upilnowanie generalnie pijącego społeczeństwa.

Z tych i innych względów zapewne jeszcze przez kilka dekad będziemy pili. Tyle że coraz mniej i coraz drożej. A na długiej drodze do prawie pełnej eliminacji alkoholu z życia naszych nieszczęsnych wnuków czekają nas różne kontrowersje. Awantura z alko tubkami to jedna z nich. Jej sens został zresztą nieco wypaczony. To prawda, że szaszetki z wódką czy likierem mogą przypominać produkt dla dzieci, ale trudno sobie wyobrazić, aby z tego powodu jakieś dziecko akurat zaczęło pić. Problem jest raczej w tym, że tak jak w przypadku małpek, wygodnie opakowana niewielka ilość alkoholu pozwala ludziom z problemem alkoholowym łatwiej ukryć picie. Taką szaszetkę można mieć w torebce albo wypić ukradkiem w ubikacji. Podobieństwo do soczków jest sprawą drugorzędną, którą wyciągnięto, by podsycić kiełkującą panikę moralną. Ale o zjawisku paniki moralnej pogadamy sobie innym razem. Na zdrowie!

JAN HARTMAN

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Prezydentka Zabrza Agnieszka Rupniewska zwolniła 100 urzędników. Chce zaoszczędzić rocznie 9,6 mln zł. *Choć zwolniono armię urzędników, magistrat działa normalnie* – twierdzi urząd miejski. To oznacza, że do tej pory działań nienormalnie, tylko się tym nie chwalił. W trakcie kadencji byłej już prezydent Małgorzaty Mańki-Szulik zadłużenie Zabrza wzrosło o 1263 proc., osiągając 883,5 mln zł. Kiedy Mańka-Szulik rozpoczęła rząd, dług wynosił 64,78 mln zł. Obecnie zadłużenie przypadające na jednego mieszkańca to 5743,57 zł – twierdzi obecna prezydent Zabrza, wspomniana Agnieszka Rupniewska.

■ W Lublinie dochodzi do tajemniczych zgonów wśród drapieżnych ptaków. W ubiegłym tygodniu otrute zostały dwa jastrzębie. Znalaziono martwego sokola wędrownego. Zdaniem brygady dochodzeniowej gołębie, na które polują drapieżniki, smarowane są klejem, który posypywany jest granulami karbofuranu (silnie trującego pestycydu). Kiedy gołąb zostaje upolowany, ptak drapieżny połyka tę truciznę i umiera. Zbrodnia doskonała.

■ Zderzenie miało miejsce przy ul. Kilińskiego w Łodzi. Kobieta zderzyła się z matką Ziemią. Panie padły sobie w uściski, ponieważ ta pierwsza założyła się z partnerem, że skoczy z IV piętra, co uczyniła. Zakład wygrała. To cud, że przeżyła – twierdzi policja (czyli mieliśmy też cud, co warto podkreślić). Zwycięska uczestniczka cudu dogorywa w szpitalu.

■ Pociąg Pendolino nr 5400 wyjechał ze stacji Gdynia Główna o godz. 7.33. Do stolicy dotarł punktualnie. Po wyjeździe z Dworca Zachodniego doszło do kolejarskiej pomyłki. W okolicy stacji Warszawa Włochy skład został skierowany na tor w stronę Ursusa Północnego oraz Sochaczewa, a nie w kierunku Pruszkowa, a później Gliwic, jak wskazywałaby jego trasa. Pasażerowie dotarli do Gliwic z półgodzinnym opóźnieniem. Jako powód opóźnienia wskazano *inne przyczyny związane z działalnością zarządcy infrastruktury*.

■ W 2011 r. w Białymstoku 28-letni pacjent zmarł podczas leczenia zębów. Rodzina przed sądem drugiej instancji domaga się zadośćuczynienia w wysokości 1 mln zł. Lekarz dokonujący zabiegu w trybie karnym został skazany na grzywnę za tzw. błąd w sztuce. Sąd pierwszej instancji oddalił pozew rodziny, przyjmując stanowisko placówki leczniczej, że pacjent i tak najprawdopodobniej by zmarł, nawet gdyby do błędów nie doszło, bowiem przyjęty został w ciężkim stanie.

■ 11-latek z Łomży zadzwonił na numer alarmowy 112. Powiedział, że jego mama jest pijana i ciągle krzyczy. Alter ego Pawlika Morozowa zostało pochwalone przez policję za obywatelską postawę. Matka trafiła do aresztu. Chłopcem opiekuje się babcia, która odebrała mu też telefon komórkowy.

■ Na niebie nad Kaszubami w okolicach Chojnic zaobserwowano wyjątkową białą tęczę, przypominającą mglisty łuk. Pewne środowiska utrzymują, że to zemsta nieba na tęczywch. Frakcja racjonalistów Kaszub uważa, iż biała tęcza powstaje w warunkach mgły lub lekkiej mżawki, kiedy słońce znajduje się stosunkowo nisko nad horyzontem. My natomiast się zastanawiamy, czy tęcza w ogóle może być biała. To jakiś oksymoron jak biały Murzyn. Może to zjawisko należałoby nazwać zatem jakoś inaczej?

■ Ktoś złośliwie, za pomocą piły mechanicznej, podcinał drewniane słupy podtrzymujące ambony myśliwskie, powodując ich zawalenie. Tajemniczy wandal zlikwidował ich 17 w Nadleśnictwie Nowe Rumunki i Nadleśnictwie Stare Jabłonki. Tym kimś okazał się Jędrzej K., dyplomowany nauczyciel z olsztyńskiego liceum, uczący młodzież etyki i filozofii. Wyprowadzono go ze szkoły w kajdankach. *Krzyczał, że nie żałuje tego, co zrobił, i nienawidzi myśliwych* – relacjonuje inny nauczyciel rzeczonego ogólniaka. Filozoficznie zrozumiałe. Etycznie niedopuszczalne.

■ Ponad 6 mld zł straty zanotowała po drugim kwartale Jastrzębska Spółka Węglowa. Rok temu za ten sam okres spółka miała 2 mld zł zysku. Gigantyczna strata po pierwszej połowie tego roku to *efekt ujęcia odpisu aktualizującego wartość refinansowanych aktywów trwałych* – wyjaśniają zarządy kopalni. Czyli winni są księgowi, a górnicy w spokoju mogą fedrować dalej.

■ Chris Bruntlett jest światowym guru w zakresie promocji jazdy na rowerze. Przyjechał do Krakowa z Holandii, aby nauczać mieszkańców, jak jeździ się po mieście rowerem i podzielić się swoją wyniosłą dialektyką welocypedingu – wyjaśnił wiceprezydent Krakowa Stanisław Mazur. Ze zapłacono gwiazdnie kolarstwa 10 tys. zł za tę promocję, wyjaśnić zapomniał.

RJ

PS Powyższe informacje mogą mijać się z prawdą. Pochodzą od kolegów z terenu. Traktować je należy z dyktowaną doświadczeniem życiowym nieufnością i okiem przymrużonym.



Rys. ORWATEL JANEK



Rys. TOMASZ WATIER

Pokarani Leszczyna

W polskiej opiece zdrowotnej kara pełni głównie funkcję rozśmieszającą.

13 czerwca zakończono postępowanie kontrolne w Pabianickim Centrum Medycznym, w wyniku którego na tego świadczącą nałożono karę w wysokości 550 tys. zł. Wiem, że są jeszcze dwa kolejne podmioty, gdzie kontrola jest już w końcowej fazie. Obawiam się, że tam też okaże się, że nałożenie kary będzie zasadne – brylowała w czerwcu na konferencji prasowej ministra zdrowia Izabela Leszczyna. Kara nałożona na pabianicki szpital była bowiem jej największym do tej pory sukcesem. Zwłaszcza po tym, jak nie potrafiła nawet załatwić dorosłym kobietom dostępu do pigułki „dzień po” bez recepty. Nie wspominając już o tym, że tak ona, jak jej resort nie mieli i nie mają bladości pojęcia, co zrobić z niestającą zapaścią publicznej opieki zdrowotnej i szczególnie szybkim dostępem do specjalistów i wykonywanych przez nich zabiegów.

Terminacja wytycznych

Pabianicki szpital miał nie dostać od NFZ 550 tys. zł, bo kontrola wykazała nieprawidłową organizację udzielania świadczeń skutkującą naruszeniem praw pacjenta oraz podejmowanie decyzji wydłużających proces udzielania świadczeń, które jednak nie miały znaczenia dla jego wyniku, a przełożyło się na niewykonanie świadczenia gwarantowanego. Tyle słów urzędniczego bełkotu resort zdrowia potrzebował, żeby tylko nie powiedzieć wprost, że szpital miał gdzieś pacjentkę, która starała się w nim dokonać – zgodnej nawet z konstatacją Trybunału Pzyłębskiej – aborcji.

Pabianicki szpital Leszczyna się nie przestraszył i ją się od kary odwoływać. Twierdził, że pacjentce nie odmówiono prawa do wykonania aborcji, wskazano jedynie, że konieczne jest przedłożenie przez nią ostatecznych wyników badań diagnostycznych. A ponieważ w znacznym stopniu wygrał, to na kolejnym spotkaniu z dziennikarzami Leszczyna się nie po-

jawiła, wystawiając – uwaga! – zastępcę dyrektora Biura Komunikacji Społecznej i Promocji centrali NFZ Andrzeja Troszyńskiego.

On zaś zakomunikował, że PCM złożyło zastrzeżenia do wyników kontroli. Po ich przeanalizowaniu ustalenia kontrolne zostały podtrzymane – powiedział Troszyński, bo nie wypadło mu inaczej. Po czym dodał, że prezes NFZ przychylił się do części przekazanych przez PCM wyjaśnień i obniżył wysokość nałożonej na szpital kary. Ostatecznie wyniosła ona nie 550, lecz 250 tys. zł.

Potem miły i wyglądający na kompetentnego czwartorzędny oficjel powiedział, że NFZ zakończył również postępowanie kontrolne w szpitalu w Lubartowie nałożeniem kary na tę placówkę w kwocie 100 tys. zł. Natomiast na 300 tys. zł popłynę karnie Uniwersytecki Szpital Kliniczny we Wrocławiu.

Ów oficjel, pomny jednak doświadczeń Leszczyny, szybko dodał, że obie ukarane placówki nie zgodziły się z wynikami kontroli i karą, więc teraz trwa procedura odwoławcza.

Zaprzęgnięte źródła donoszą, że i w tych przypadkach dojdzie do znacznego ścięcia kar, więc Leszczyna nie chciała firmować czegoś, co potem w mediach niefajnie wygląda. Porażki znaczy. Ponadto do ministru dotarło, że szpitale niemal gremialnie olały jej aborcyjne wytyczne z końca sierpnia. Miały one być wykładnią obowiązującego prawa dotyczącego przerwania ciąży. Wskazywały, że zagrożenie życia lub zdrowia kobiety to dwie niezależne przesłanki i wystąpienie tylko jednej z nich jest wystarczające do przeprowadzenia terminacji ciąży oraz że przepisy nie determinują, jakiego obszaru ma dotyczyć za-

grożenie zdrowia. Ogłaszając wytyczne, Leszczyna zapewniała, że do procedury przerwania ciąży wystarczy jedno orzeczenie lekarza stwierdzające istnienie przesłanki zagrożenia zdrowia kobiety, w tym na przykład zaświadczenie od psychiatry. Dodała też, że zasada ta nie była przestrzegana. I – jak się dowiadujemy u źródeł – nie jest do dziś.

I nie zmienia tego ani zakłęcia Leszczyny, ani tym bardziej kary finansowe. Szpitale bowiem mają finanse gdzieś. I to od dziesięcioleci.

A długi rosty, rosty, rosty...

Gdy w 2015 r. PiS przejmowało władzę, długi szpitali wynosiły nieco ponad 10 mld zł. Ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł zrobił

więc reformę. Dzięki utworzeniu sieci szpitali i wysupłaniu większej kasy na zdrowie ze składek i budżetu wszystko miało hulać idealnie. Nie hulało, więc Radziwiłł został wojewodą mazowieckim, a po nim przyszli Szumowski, Niedzielski i jeszcze ktoś. Ministerialne rozszady, reforma szpitalnictwa i pandemia porobiły tak, że

zadłużenie polskich szpitali wynikające z kredytowania NFZ, który nie płaci za znaczną część świadczeń, prezes Związku Powiatów Polskich Andrzej Płonka wyśzacował na koniec zeszłego roku na ponad 30 mld zł. Długi wzrosły więc za PiS trzykrotnie.

Najzabawniejsze, że rząd, który programowo nie lubi PiS, w tej kwestii umniejsza przewiny poprzedniej władzy. Kilkanaście tygodni temu Rafał Głowczyński, zastępca dyrektora Departamentu Nadzoru i Kontroli w Ministerstwie Zdrowia, przedstawił dane o sytuacji finansowej szpitali samorządowych na koniec trzeciego kwartału 2023 r. Rządowym specem nie wyszło jednak tyle, ile samorządom, które są właścicielami zadłużonych szpitali, ale mniej. I to o połowę. Według Ministerstwa Zdrowia 351 szpitali jest w plecy łącznie ledwie na 14,637 mld zł.

Ciekawe w wyliczeniach Głowczyńskiego było to, że najoszczędniej prowadzą się szpitale gminne. Jest ich pięć i mają długi w wysokości drobnych 39 mln zł. 25 placówek należących do miast na prawach powiatu ma 1,884 mld zł długu. 181 szpitali prowadzonych przez powiaty ma do spłacenia 5,335 mld zł.

Największe jednak długi w przeleżeniu na szpital ma 140 placówek należących do samorządów województw – ich zadłużenie to 7,380 mld zł. Najszybciej przyrastają szpitalom zobowiązania wobec Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, które sięgnęły 151 proc. Zadłużenie względem dostawców energii, gazu, wody wzrosło przez rok o 96 proc., a zobowiązania względem ZUS – o 59 proc.

Na minusach jedzie 84 proc. polskich lecznic. Długi mają zarówno placówki podległe bezpośrednio Ministerstwu Zdrowia, jak i samodzielne publiczne zakłady opieki zdrowotnej.

Donald Tusk, Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz oraz Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń w podpisany 10 listopada 2023 r. w senacie porozumieniu dotyczącym utworzenia koalicji na rzecz zbudowania trwałej większości parlamentarnej, wspólnego rządu i naprawy Polski zawarli taki passus: wprowadzimy mechanizmy oddłużania szpitali i urealnimy wycenę świadczeń zdrowotnych. Tym samym obecny rząd wpisał się idealnie w tradycję rządzenia Polską po 1989 r. Wszak od upadku komuny co kilka lat kolejne rządy przeprowadzają oddłużenie szpitali. Idzie na to w cholere miliardów złotych. Tylko po to, żeby za chwilę znów pula szpitalnych długów wróciła do stanu sprzed oddłużenia i poszła dalej. Tego fenomenu ogarnąć rozumem nie sposób. Specie od ekonomii zdrowia uznali jednak, że mechanizm powstawania długów szpitalnych jest zawsze taki sam. I na dodatek nie zależy od puli hajsu przyznawanej szpitalom przez państwo. Znaczy to ni mniej, ni więcej, że choćbyśmy płacili

na zdrowie nie 6,2 jak dziś, ale 20 proc. PKB, to szpitale i tak będą pod kreską.

Zawsze bowiem jest tak, że szpital więcej wydaje na swoją działalność, niż jest w stanie na niej zarobić. Największą pozycją w budżecie są wynagrodzenia medyków stanowiące grubo ponad 80 proc. wszystkich wydatków jednostki. Resztę dyrektor musi przeznaczyć na media i koszty usług zewnętrznych. Nie ma więc ani na leki, ani – tym bardziej – na nowy sprzęt. Na dodatek zaś lekarze i reszta personelu medycznego zawsze płaczą, że zarabiają za mało.

Czy mają rację? Po porównaniu ofert pracy, jakie szpitale składają do lekarzy, wyszło, że najniższe z nich, tylko za goły ośmiogodzinny etat, bez dyżurów i innych dodatków, przekraczają 25 tys. zł miesięcznie. Anestezjologodzy, onkolodzy i kardiologodzy mogą przebiegać w ofertach nawet dwakroć wyższych.

A dyrektor na to...

Dlaczego jednak wierzyciele pozwalają szpitalom tak się zadłużać? Żadnej firmie, nie wspominając już o zwykłym człowieku, żaden bank czy inny provident nie da pożyczki, jeśli ma worek niespłaconych zobowiązań. Szpitale mają jednak kredytowanie w miarę na bieżąco. Bo otóż każdy bank, gigant farmaceutyczny czy firma specjalizująca się w chwilówkach wie, że długi szpitala państwa wykupi w ramach kolejnego oddłużania. Od lat kwitnie więc handel szpitalnymi wierzytelnościami. Zwłaszcza że każde przeterminowane zobowiązanie placówki to dla właściciela weksła czysty zysk w postaci nader wysokich odsetek karnych za zwłokę.

Największym idiotyzmem jest jednak to, że państwo doskonale zdaje sobie sprawę z tego procederu. Ale nigdy żaden zarząd czy dyrektor popadającego w milionowe długi szpitala za to nie bekną. Gdyby bowiem pojawił się u niego prokurator, zrobiłby konferencję prasową. Na niej, zamiast opowiadać, ile kasy płaci lekarzom, płakałby nad tym, że musiał zadłużać, bo pacjenci by pomierali.

Dokładnie tak samo zareagują dyrektorzy na kary nakładane na placówki przez NFZ. Jeśli ktoś nie wierzy, to proszę. Szpital w Lubartowie dostał za nieterminację ciąży 100 tys. zł kary. Czy taka kwota kogoś tam ruszy? Można wątpić. Lubartowska placówka z długami zna się dobrze. 6 lutego 2019 r. miała je na kwotę 3,5 mln zł. Teraz to ponad 100 mln zł. NFZ-owska kara to jedna tysięczna tego długu. Tyle, co nic.

Karanie szpitali jest, jak widać, bez sensu. Kwoty kar, które jeszcze jako tako wyglądają na papierze czy ekranie, w zestawieniu z budżetami i długami placówek są dla nich zupełnie nieistotne. Żaden dyrektor się więc ich nie boi. I dlatego karami dla szpitali resort Leszczyny nie jest w stanie nikogo zdyscyplinować.

Zupełnie co innego, gdyby sankcje były nałożone na kogoś, kto bierze ciężkie pieniądze za szefowanie takiej placówce. 100 tys. zł kary zabolaloby nawet dyrektora szpitala, zarabiającego taką kasę w niecałe dwa miesiące.

Może wtedy, zamiast wysłuchiwać dyrdymałów o klauzuli sumienia, wolalby znaleźć fachowców, którzy zgodnie z XXI-wieczną wiedzą medyczną, byłiby w stanie zrobić tak banalną rzecz jak usunięcie płodu zagrażającego życiu pacjentki.

Urzędasy w resorcie Leszczyny obrażają się, że nie można tak, bo nie ma odpowiednich przepisów. Fakt – nie ma. Więc może pora je napisać i wprowadzić.

TADEUSZ JASIŃSKI



rys. BARTŁOMIEJ IBELNIK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Z przykrością musimy stwierdzić, że **dekommunizacja się nie dokonała (...). Dokonała się dekatolizacja.** (...) W to miejsce postkomunistyczne siły jakby próbowały z całą mocą wyrugować Kościół z przestrzeni społecznej, ośmieszać księży biskupów. **Pamiętamy, ile razy prymas polski, ks. kard. Józef Glemp, był ośmieszany na różne sposoby; ileż napisów pojawiało się na murach miast i wiosek, aby ośmieszyć księży.**

ks. prof. Krzysztof Bielawny, Radio Maryja, 3 października

■ Brak wiedzy i szacunku dla bliźniego – **przy jednoczesnej promocji różnych dewiacji jako kulturowej odmienności – to cechy tych, którzy wolność i równość mają tylko na sztandarach.**

ks. Janusz Chyła, X, 29 września

■ **Człowiek nie jest już pomyślany jako centrum stworzenia, żyjący na większą chwałę Boga, ale jako cel duchowej i fizycznej eliminacji. Konferencje ONZ i obecna polityka zarządzania globalnego przez partnerstwa komunizują świat.** W konsekwencji człowiek, który w sposób wolny może wybierać większe dobro i prawdę, ma być zastąpiony przez bezrozumną, skomunizowaną masę, niezainteresowaną ani pięknem, ani dobrem, ani prawdą. (...) **Obrona tak pomyślanego świata – dobrego,**

pięknego i prawdziwego – wymaga z naszej strony zaangażowania i odwagi w ewangelizacji.

dr Aldona Ciborowska, „Nasz Dziennik”, 25 września

■ Po 1990 roku **zafundowano młodzieży alkohol, wszechobecne narkotyki, wyuzdanie seksualne oraz muzykę, która bardzo często niosła za sobą treści demoniczne, a która powodowała zniewolenie duchowe.** To się dzieje po dzień dzisiejszy. Liczba młodych ludzi, którzy **dają się opanować przez grupy demoralizatorów, jest tak duża, że grozi nam upadek duchowy, moralny.**

dalej Bielawny

■ Obecnie rządzący w naszym kraju domagają się aborcji jako prawa przynależnego każdej kobiecie. **Każda może zabijać swoje dziecko nawet w bardzo zaawansowanej ciąży. Każda może zabić. Każda może być jak Bóg, a inni mają temu przyklaskiwać.** (...) Gwałci się prawa biologii w imię pomysłów ludzkich, które uważają, że mogą kreować zupełnie nową rzeczywistość.

OSZCZĘDNOŚCIĄ I TACĄ LUDZIE SIĘ BOGACĄ.

Tak dalece sięga potęgą owego starodawnego węża, czerwonego smoka, który chce zawładnąć ludzkimi sumieniami (...).

abp Marek Jędraszewski, Msza na Dolna, homilia, 29 września

■ Ministerstwo Likwidacji Edukacji rozpisalo etapy wojny z narodem polskim „Idziemy po wasze dzieci”. **Koniec z nauką, teraz formatowanie wg oczekiwanego przez lewactwo profilu absolwenta, ale najpierw likwidacja religii, bo tam słyszą, że nie wolno mordować, że jest miłość silniejsza od śmierci.**

Barbara Nowak, X, 2 października

KLECHA

rys. OBYWATEL JANEK



Kolejny odcinek zagłębiowskiego serialu

Milczenie (Sosn)owiec

Nie ma szczęścia ten Sosnowiec. Nie dość, że miasto regularnie bywa tematem żartów internautów, ma w swojej historii wampira z Zagłębia i mamę małej Madzi, to jeszcze kościółkowi robią wszystko, żeby go ośmieszać. Diecezja sosnowiecka stała się symbolem jurności polskich klechów i ich skłonności do używek. Nie wszyscy przeżyli.

Trzech na muszce

Kolejny akt sosnowieckiego dramatu rozegrał się na początku października. Zatrzymano trzech duchownych tej diecezji, w tym jednego byłego. To było 1 października. 4 października

trzeba było zebrać w czasie przeszukania, bo księży nie chcieli wydać po dobroci. Kościelni urzędnicy chwalą się zaś, że nowy biskup zdecydował o powstaniu dwóch komisji do zbadań afer w diecezji objętej po bepe Grzegorza Kaszaka, który odszedł w atmosferze skandalu na wcześniejszą emeryturę. Bepe Artur Ważny rzadzi diecezją sosnowiecką od maja 2024 r. i ciągle mówi, że robi wszystko, aby ją uporządkować. Jedna komisja już działa, druga powstaje. Obiektywność komisji kościelnych, w których koledzy badają sprawy kolegów, może być łatwo podana w wątpliwość. Ale policja i prokuratura robią swoje. W rozmowie z „Rzeczpospolitą” Ważny z góry zapowiada: *z pewnością trzeba*

bez konsultacji z papugą wyznaczonym przez kurie. Przypomina to trochę sytuację z Orlenu u schyłku rządów PiS, kiedy to zarząd koncernu miał się uczyć podczas specjalnego kursu, jak bezpiecznie upadać podczas zatrzymania. A przecież – jak mawiał Ziobro – *uczciwi nie mają się czego bać*. Brak Ziobry spowodował, że księży się trochę boją.

Kolejne zatrzymania w diecezji sosnowieckiej to pokłosie notatek księdza, który zabił diakona i siebie. *Jak się okazało, był to człowiek zmagający się z problemami psychicznymi. Robił jakieś zapiski, odnotowywał m.in. zachowania określonych osób. Prokuratura, która znalazła jego notatki, do których my nie mieliśmy wcześniej dostępu, weryfikuje je od marca ubiegłego roku. Sprawda osoby, które w nich występują. Stąd też przeszukania w kurii. Sprawa ma zatem charakter rozwojowy* – mówi bepe Ważny w cytowanej już rozmowie z „Rzeczpospolitą”. Możemy się zatem spodziewać kolejnych odcinków tego serialu kryminalnego.

Wymuszona zmiana

Na plus biskupowi należy policzyć to, że

przynajmniej nie mówi o brutalnym ataku na Kościół, a zatrzymanych nie porównuje do Popiełuszki.

Trzeba przyznać, że podjął się niemal samobójczej misji posprzątania po Kaszaku, który spokojnie korzysta z uroków emerytury. Nie jest już osobą publiczną, ma zapewniony przez diecezję wikt i opierunek – jednym słowem: upiekło mu się. Kaszak po ujawnieniu afer apelował: *Proszę Was, abyście modlili się i wspierali, jak tylko możecie, obolałych i zawstydzonych księży, a także wszystkich tych, którzy nie zrobili nic złego, a bardzo cierpią i jest im bardzo trudno*. „Obolali księża” w kontekście orgii na plebanii przeszli do klasyki kleszego pieprzenia. Odsiadujący wyrok ks. Tomasz Z. twierdził zaś, że opisywanie urzędowej przez niego imprezy to *evidentne uderzenie w Kościół, a w tym w duchowieństwo i wiernych, by poniżyć jego pozycję, zadania i misję*.

Na tym tle słowa bepe Ważnego, że spodziewał się ruchów prokuratury i nawet ich oczekiwał, to coś nowego, przynajmniej w sferze deklaracji. Warto w tym miejscu przypomnieć, że w ubiegłym roku prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński zawiesił współpracę miasta i diecezji z powodu afer seksualnych i kryminalnych. To ruszyło lawinę zmian. Nic tak nie działa na kler jak groźba zakręcenia kurka z pieniędzmi.

MATT KOBOSKO

NIE MA TAKIEGO MIASTA JAK SOSNOWIEC. JEST SEUL, SAO PAULO, SULĘCIN...

zaś w Kurii Diecezjalnej w Sosnowcu, w Biurze Delegata ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży, a także w Diecezjalnym Centrum Służby Rodzinie i Życiu śledczy, pod nadzorem Prokuratury, dokonali przeszukania w związku z prowadzonymi przez siebie postępowaniami. Informujemy, że Kuria w pełni współpracuje z wymienionymi organami, przekazując dane i nośniki, o które nas poproszono – czytamy w komunikacie rzecznika diecezji.

Zatrzymani to dwóch 67-latków i jeden 63-latek. Najmłodszy został aresztowany na trzy miesiące, pozostali odpowiedzą z wolnej stopy. Zarzuty dotyczą przestępstw seksualnych i gospodarczych. Zatrzymanie jest odpryskiem innej głośniejszej sprawy: w marcu ubiegłego roku 40-letni ksiądz zabił 26-letniego diakona, sześciokrotnie do niego strzelając i zadając ciosy nożem, a następnie popełnił samobójstwo. Obaj pracowali w jednej placówce, prestiżowej parafii katedralnej w Sosnowcu. Podczas śledztwa w tej sprawie pojawiły się nowe wątki, które ostatecznie doprowadziły do zatrzymania trzech wspomnianych wyżej panów.

Była to jedna z następujących po sobie afer w diecezji sosnowieckiej. Oprócz tego na przestrzeni kilku miesięcy głośno było o śmierci 21-latka na plebanii w Sosnowcu oraz o seksparcie w Dąbrowie Górniczej.

W tej pierwszej sprawie śledztwo nadal trwa, w drugiej – ksiądz Tomasz Z. został skazany na półtora roku więzienia za nieudzielenie pomocy nieprzytomnemu mężczyźnie.

Instrukcja

Kuria zapewnia, że współpracuje ze służbami i niczego nie utrudnia, choć część materiałów

będzie się spodziewać jakichś kolejnych zatrzymań czy przeszukań. Jesteśmy na to gotowi.

Gotowi są, rzeczywiście. Jako że zrobiło się gorąco, kuria rozesłała do księży instrukcję, jak mają się zachowywać w przypadku przypału, tzn. kiedy i do nich zastukają smutni panowie. W razie czego mają czekać na adwokata, nie wdawać się w niepotrzebne rozmowy z policją i najlepiej niczego nie podpisywać

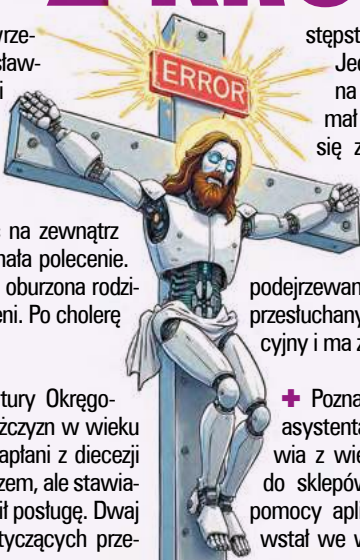
WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Do niecodziennej sytuacji doszło 29 września w Parafii Chrystusa Króla w Bolesławcu. Kiedy w trakcie mszy jedno z dzieci uczestniczących w nabożeństwie zaczęło się wiercić, jego starszy brat zaczął je wozic wózkiem wokół ławek. Ksiądz celebrujący mszę przerwał liturgię, polecił gówniarzom oraz ich matce wyjść na zewnątrz i wznosił kazanie dopiero, gdy ta wykonała polecenie. Sprawę nagłośniła w lokalnych mediach oburzona rodzicielka chłopców. My też jesteśmy oburzeni. Po cholere zabierać dzieci do kościoła?

✦ 1 października na polecenie Prokuratury Okręgowej w Sosnowcu zatrzymano trzech mężczyzn w wieku 59, 63 i 67 lat. Dwaj z nich to czynni kapłani z diecezji sosnowieckiej, trzeci byłym już księdzem, ale stawiane mu zarzuty dotyczą okresu, kiedy pełnił posługę. Dwaj księży usłyszeli łącznie 11 zarzutów dotyczących prze-

stępstw seksualnych na szkodę dzieci. Jeden z klechów został aresztowany na okres trzech miesięcy. Drugi otrzymał dozór policji, zakaz kontaktowania się z pokrzywdzonymi oraz ich rodzinami, a także zakaz przebywania w miejscach gromadzenia się małoletnich oraz pracy z dziećmi i ich nauczania. Ekskiądz jest podejrzewany o oszustwa gospodarcze. Został przesłuchany i zwolniony. Trafił pod dozór policyjny i ma zakaz opuszczania kraju.

✦ Poznańska parafia na Łacinie stworzyła asystenta, który w „nanokaplicy” rozmawia z wiernymi. Do kapliczki, podobnie jak do sklepów Zabka Nano, wchodzi się przy pomocy aplikacji. Elektroniczny pomocnik powstał we współpracy z firmą odpowiedzialną



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIARA CZYNI CZUBA

1. Ryan Walters, republikański szef edukacji publicznej stanu Oklahoma postanowił – za 6 mln dolarów podatników – kupić Biblię dla wszystkich nauczycieli w całym stanie. Już jest zabawnie, ale będzie bardziej. Otóż nauczycieli tych – z których większość nie ma żadnego związku z nauczaniem religii (po cholere matematykowi Biblia) – jest 43 tys., ale Walters rozpiął przetarg na 55 tys. egzemplarzy. Wyszczególnił warunki: Biblia Króla Jakuba bez przypisów i komentarzy, za to z Przysięgą Wierności Fladze, Deklaracją Niepodległości, Konstytucją i Kartą Praw USA, oprawiona w skórę albo jej imitację. Najwięcej księgarń chrześcijańskich w USA ma w ofercie 2900 Biblii i żadna nie odpowiada tym wymogom. Odpowiada im bowiem jedno tylko wydanie na świecie. I jest to, trzeba trafiać, Biblia Trumpa, sprzedawana przez byłego prezydenta po 59,99 dolara.

2. Bank Watykański wywalił z roboty parę, która wzięła ślub, łamiąc obowiązujący od kwietnia zakaz małżeństw między pracownikami Instytutu Dziel Religijnych – to oficjalna nazwa banku – a także generalnie między pracownikami Watykanu. Podobne zakazy w korporacji mają chronić instytucję przed zarzutami nepotyzmu, a także *możliwym pojawieniem się sytuacji konfliktu interesów* – cokolwiek to znaczy – ale w instytucji należącej do centrali Kościoła kat. zakaz ma szczególny wymiar. Gdyby wzmiankowani młodzi ludzie żyli na kocią łapę i pierdolił się jak norki, pamiętając o antykoncepcji – obydwójce nadal mieliby pracę. ADLV, stowarzyszenie świeckich pracowników Watykanu, napisało do papieża, że *narodziny nowej rodziny nie powinny być zagrożone przez biurokratyczne przepisy*. Interwencja nie przyniosła skutku.

3. 40-letnia Pakistanka Shagufta Kiran, była pielęgniarka, a obecnie wychowująca czworo dzieci gospodyni domowa, została skazana na karę śmierci przez sąd w Islamabadzie. Kiran, która jest chrześcijanką, nieopatrznie dołączyła do kilku grup poświęconych dyskusjom religijnym na WhatsApp, gdzie usiłowała – jak donoszą chrześcijańskie media stojące w jej obronie – *głosić ewangelię*. W efekcie administrator jednej z grup, nazwanej niewinnie „Czyste Dyskusje”, Shiraz Ahmed Farooqi, doniósł, iż *wielokrotnie i celowo wygłaszała obraźliwe uwagi w odniesieniu do ostatniego proroka Allaha Wszechmogącego i zbezczeszczała święte imię Świętego Proroka Muhammada (Pokój z Nim)*. Poza wyhuśtaniem sąd skazał Shaguftę na siedem lat więzienia o zastrzeżonym rygorze i grzywnę 300 tys. rupii pakistańskich (ok. 4 tys. zł).

4. Nicolás Maduro – nowy-stary prezydent Wenezueli, którego zwycięstwo w lipcowych wyborach budzi sporo wątpliwości – na pocieszenie dla ludu ogłosił, że sezon bożonarodzeniowy rozpoczyna się w tym roku 1 października. *Boże Narodzenie jest świętem o charakterze uniwersalnym, które upamiętnia narodziny naszego Pana Jezusa Chrystusa. Za sposób i czas jego obchodzenia odpowiedzialna jest władza kościelna, która zapewnia zachowanie prawdziwego ducha i znaczenia tego wydarzenia o duchowym i historycznym bogactwie, ponieważ upamiętnia ono narodziny naszego Pana Jezusa Chrystusa* – skarciła Maduro Konferencja Episkopatu Wenezueli. *Nie, panowie w sutanach, niczego tu nie zadekretujecie. Jezus Chrystus należy do ludu. Boże Narodzenie należy do ludu i lud je obchodzi, kiedy chce* – odrzekł socjalistyczny prezydent.



Rys. MARCIN CHUDZIK

za tworzenie inteligentnych domów. Zdaniem proboszcza parafii na Łacinie ks. Radka Rakowskiego niedługo w parafiach nie będą potrzebne tablice ogłoszeń czy plakaty, bo wszelkie informacje prześle wirtualny asystent. To doskonała wiadomość. Teraz już nie tylko brak powołania, ale i ChatGPT wyeliminują kler z życia publicznego. Serdecznie gratulujemy.

✦ Około półtora promila alkoholu w organizmie i święcenia kapłańskie miał kierowca, który 28 września na parkingu przy markecie w Pyzdrach (woj. wielkopolskie) uderzył w inne auto. Fakt, że za kierownicą siedział ksiądz, a gwoli ścisłości – proboszcz jednej z parafii na terenie archidiecezji gnieźnieńskiej, potwierdził rzecznik kurii metropolitalnej ks. Remigiusz Malewicz. Jak poinformował, duchowny zostanie wezwany do księdza prymasa Wojciecha Polaka w celu złożenia wyjaśnień, po których zostaną podjęte wobec niego stosowne decyzje. Co tu wyjaśniać? Pewnie zabrakło „paliwa”. Na razie księżuło sobie nie pojeździ, policja zatrzymała jego prawo jazdy.

KLECHA

Więści na pozytywce pasteryz i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

ZA STOWĘ WYJAŚNIĘ
PANU, JAK PAN WYDAJE
PIENIĄDZE NA GLUPOTY!

M. Felbert

Życie W DOBROBYCIE

Rys. WIDGET

Tylko 37 proc. europejskich pracowników jest zadowolonych ze swoich wynagrodzeń, podczas gdy 26 proc. wyraża stanowcze niezadowolenie z zarobków. Tak wyszło w badaniu headhunterskiej firmy SD Worx znanej ponoć z tego, że jest głównym sponsorem najlepszej kobiecej drużyny kolarskiej na świecie. Sondaż został przeprowadzony na grupie 18 tys. pracowników z 18 europejskich krajów. W tym w Polsce, która Europę zaskoczyła. Usatysfakcjonowanych wysokością wypłaty jest niemal 51 proc. Polaków, a zdecydowane niezadowolenie deklaruje jedynie 17,5 proc. z nas. Co drugi uważa zatem, że to, ile płaci mu pracodawca, jest w porządku. Znaczy to, że wśród zadowolonych rodaków jest spora grupa osób, które cieszą się, że dostają na rękę 4,5 tys. zł miesięcznie.

Ciekawe, czy należy do niej 34-letnia mieszkanka powiatu trzebnickiego, którą właśnie zatrzymała policja za to, że w latach 2019–2024 płaćła służbową kartą płatniczą za zagraniczne wycieczki, kupowała drogę sprzęty AGD i RTV oraz biżuterię. W sumie przez pięć lat pani wydała w ten sposób z firmowego konta ponad 1,5 mln zł. Firma była jak najbardziej prywatna, a skoro przez całe lata nie zauważyła straty półtorej banki, to może warto, by jej właściciele przyrzekli się, ile kasy i na co popłynęło z innych kart służbowych.

A właśnie taki audyt strzelił sobie nie do końca prywatny bank PKO BP. Przebadano jego działalność od początku 2016 r. do lutego 2024 r., czyli za czasów PiS, choć przecież prezes banku przez większość tego czasu był ten sam co za rządów PO–PSL. Oczywiście audyt ujawnił nieprawidłowości mogące nosić znamiona przestępstwa, co skłoniło nowe władze banku do złożenia pięciu zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Stwierdzono między innymi finansowanie wydarzeń lub prywatnych firm i instytucji bez uprzedniego sporządzania adekwatnego uzasadnienia biznesowego lub wizerunkowego. Jako przykład podano przekazanie ok. 20 proc. budżetu reklamowego w 2019 r. na jedną ze stacji telewizyjnych z oglądalnością na poziomie 0,5 proc. widowni zrezygnowanie z puszczania reklam w telewizjach o wysokiej oglądalności. Poza tym audytorzy obczaili m.in. *zjawisko tzw. fikcyjnego zatrudniania*, znaleźli też niestandardowe umowy o pracę i umowy zlecenia przyznające nieznanym innym pracownikom banku świadczenia, nie wspominając o tym, że stanowiska te nie miały nawet wykazu obowiązków pracownika. Audytorom nie spodobało się też finansowanie Polskiej Fundacji Narodowej, bo jak wyliczono, od jej powołania w 2016 r. PKO BP prze-

każał na rachunki PFN łącznie 35 mln zł. Oczywiście nikogo nie zainteresowała skala łupienia przez bank jego klientów. Ta zaś musiała być znaczna, bo mimo wykazanych przez audyt przekrętów grupa PKO BP zajęła za 2023 r. pierwsze miejsce w zestawieniu największych płatników podatku dochodowego od firm, czyli CIT. PKO BP zapłaciło 2 mld 309 mln zł podatku od zysku wynoszącego 13 mld 529 mln zł. Zysku wyciągniętego z kieszeni zadowolonych ze swoich wynagrodzeń Polaków.

Ze swoich zarobków na pewno było zadowolonych siedmiu byłych członków zarządu zasadniczo państwowego giganta chemicznego noszącego dumną nazwę Grupa Azoty. Nowe władze spółki poinformowały bowiem, że do prokuratury powędrowały umowy o świadczenie usług zarządczych, zawarte z siedmioma byłymi członkami zarządu na kwotę przekraczającą 4 miliony złotych. Nowej politycznej miotle w Azotach nie spodobało się, że umowy zapewniały wypłatę odszkodowania przez pół roku po zakończeniu pełnienia funkcji. Pracowników firmy sprawa ta nie rusza, obawiają się bowiem, że podzieli los PKP Cargo, gdzie ma dojść do dużych zwolnień. Ale władze Grupy Azoty, która z powodu zadłużenia sięgającego ok. 10 mld zł również jest w trudnej sytuacji finansowej, zamiast myśleć o aktualnych pracownikach, wolą widać zajmować się grozowymi – w skali długów – rozliczeniami z paroma pisowcami.

Gdyby jednak zatrudnienie w Azotach było redukowane, to wyłani pracownicy, choć zostaną goli i bosi, nie będą mieli szans na skorzystanie z oferty platformy AlohaCamp nawołującej do rozebrania się z cywilizacji. Czyli z nadmiaru bodźców, stresu i sztuczności, aby zanurzyć się w naturze i odnaleźć w niej równowagę. Wystarczy dołączyć tylko do społeczności NaTurystów. Wszak jak pisze AlohaCamp, *nowo rozwijająca się nauka – neuronauka środowiskowa, staje się źródłem ważnych badań, potwierdzając to, że kontakt z naturą ma zbawienny wpływ na ludzki umysł, demonstując, jak podatny jest on na przebywanie na łonie natury. Jedno z badań wykazało, że po zaledwie 40 sekundach patrzenia na zieloną przestrzeń lasu popełniamy mniej błędów w zadaniach, niż gdy patrzymy przez ten sam czas na krajobraz typowy dla miasta. Dłuższe przebywanie w naturze, trwające co najmniej trzy dni, przynosi dodatkowe korzyści naszym umysłom – jak uczucie dobrego samopoczucia, jaśniejsze postrzeganie naszych problemów i pozytywne nastawienie*. Polscy pracownicy zarabiający 4,5 tys. zł mają dobre samopoczucie i bez tego. Nie muszą więc płacić po 800 zł od osoby dziennie za możliwość łożenia nago i korzystania z nowoczesnych i rustykalnych domków przez jurty, glampingi – cokolwiek to znaczy – aż po chatki na drzewie czy barki na wodzie.

TTJ

Będzie o tym, jak dewaluują się obietnice państwa.

Za komuny, nawet jak się zarabiała średnio, to teoretycznie człowiek stać było na własne mieszkanie. Wystarczyło przez półtora roku udzielać się na etacie i wszystkie zarobione pieniądze wpłacać na książeczkę mieszkaniową PKO. Gdy już uzbierało się wkład, to dostawało się w spółdzielni mieszkaniowej numerki i wraz z nim szacunkowy czas przydziału własnego „M”. Nie mniejszy zazwyczaj niż 10 lat. Dekada przeradzała się w lat kilkanaście i w kilku milionach przypadków zdarzyło się, że Jaś nie doczekał. A to z tego prostego powodu, że komuna, będąca gwarantem książeczek, wzięła i padła.

Rzeczpospolita umywa ręce

Kilka milionów rodaków zostało z czerwona książeczką. Ale bez szans na zrealizowanie tego, na co składali kasę – mieszkania, znaczy się. Szczególnie że dzięki brakowi sensownej waloryzacji, po hiperinflacji z lat 1989–1990 kwoty zgromadzone na książeczkach wystarczały na zakup sprowadzonej z Berlina Zachodniego tabliczki czekolady.

Najciekawsze jest to, że racji posiadaczom książeczek nie przyznał nawet Sąd Najwyższy, który w 1993 r. stwierdził, że wkład zgromadzony na mieszkaniowej książeczce oszczędnościowej, jak i należna posiadaczowi książeczki premia gwarancyjna, nie podlegają waloryzacji. Po denominacji złotychki o cztery zera zrobiło się jeszcze śmieszniej. Pełny wkład z 1978 r. na duże dwupokojowe mieszkanie, wynoszący 50 tys. zł, zaczął być wart całe 5 PLN-ów.

Miliony poczuły, że zostały przez historię i polityków wyrolowane. A miliony wściekłych ludzi to doskonały potencjalny elektorat. Zrozumiał to ludowo-lewicowy rząd i w 1995 r. klepnął w sejmie ustawę „O pomocy państwa w spłacie niektórych kredytów mieszkaniowych, udzieleniu premii gwarancyjnych oraz refundacji bankom wypłaconych premii gwarancyjnych”.

Z mocy ustawy na premię, która urealniała kwoty na kontach, mogli liczyć wyłącznie posiadacze książeczek mieszkaniowych założonych przed 24 października 1990 r. Ci, których książeczka została założona później, mogli dostać jedynie odsetki oraz zgromadzony wkład. Jednak żeby dostać premię, najpierw trzeba było przeznaczyć pieniądze na ściśle określone

ustawowo cele mieszkaniowe, czyli zakup lub wykup mieszkania albo budowę domu.

Kwota gwarancyjna była obliczana według ko-bylastego wzoru, który był do ogarnięcia jedynie przez PKO BP. Zależała od czasu, jaki pieniądze spędziły na kontach banku, inflacji i średniej ogólnopolskiej ceny nowo wybudowanego metra kwadratowego określonej przez GUS.

Szczęśliwi posiadacze książeczek ruszyli do banku i... przestali być szczęśliwi. Premia gwarancyjna, odsetki i kwota zgromadzona na książeczce dawały im równowartość ledwie kilku metrów powierzchni nowego mieszkania. Rzecz jasna, poculi się wyrolowani po raz drugi.

Tym razem jednak nie mieli racji. Za komuny bowiem było tak, że – zgodnie z wymogami stawianymi przez spółdzielnie mieszkaniowe – w tzw. pełnym wkładzie gromadzili na ogół nie więcej niż 10 lub 20 proc. środków niezbędnych do wybudowania mieszkania. Pozostała część wartości była pokrywana z kredytu zaciąganego przez spółdzielnię i spłacanego przez jej członków, z tym że część tego kredytu była umarzana. Taki wkład był wystarczający do rozpoczęcia oczekiwania w biurze mieszkaniowym w charakterze kandydata na członka spółdzielni.

W latach 90. jakoś pamięć o tym się zatarła i posiadacze książeczek mieszkaniowych uznali, iż wniesiona w przeszłości kasa stanowi całość wkładu budowlanego, który teraz wraz z premią gwarancyjną całkowicie powinien pokryć koszty budowy mieszkania. Z takim przekonaniem towarzystwo dotarło do Europejskiej Komisji Praw Człowieka. Komisarze podrapali się w głowę i w 1997 r. orzekli, że właściciele książeczek mieszkaniowych nie zostali pozbawieni swego mienia, bo osoby budujące lub kupujące domy albo mieszkania są uprawnione do premii gwarancyjnej, a wszyscy inni otrzymują zwrot wkładów wraz z odsetkami.

Bój o zasady był zakończony, a miliony ruszyły do zakupu nieruchomości i po premie gwarancyjne. Do walki o pieniądze przystąpił też PKO BP i jął propagować tezę, że jak ktoś będzie wciąż ubogaczał stan swojego konta na książeczce mieszkaniowej, to wtedy kwoty gwarancyjne znakomicie wzrosną. Naród był chciwy i taką koncepcję łyknął. Pojawiły się tysiące nowych wpłat. Okazały się jednak zupełnie inną bajką. Nowe wpłaty były księgowane tak jak normalne rachunki, a nie lokaty. Oczywiście kapitał przyrastał, ale z racji samego siebie, a nie odsetek.

Kult zapierdolu okiem niewierzącej

W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie – tak dobrotliwy Bóg powiedział praojcu Adamowi, gdy go wygnał z raju po zjedzeniu jabłka (a może wódki udającej mus jabłkowy?). Bo starożytni nie byli głupi – wiedzieli, że praca jest przekleństwem, wysiłkiem, trudem, aby zaspokoić podstawowe potrzeby z jedzeniem na czele.

I w mądrości ludowej przez tysiąclecia takie podejście było utrwalone. W „Lamencie chłopskim”, wiejskiej pieśni przypominającej jakiś czas temu przez ludowo-punkowy projekt R.U.T.A., słyszymy skargę:

*Czeladź mruczy... kiedy więcej pracy
cierpliwości kto przy tym nie straci?
A zapłatę musisz jej całą dać,
choćbyś miał dniem i nocą orać.*

Miłość nieodwzajemniona

Mój dziadek, przez parę lat górnik, a potem rolnik, który ciężką harówką doszedł do czegośkolwiek, nierzad dosadnie powtarzał z szelmowskim uśmiechem: *Robota to głupota, picie to życie!* A było to wszak na dekady przed małpkami naszymi powszednimi.

Jak wiadomo jednak od greckich filozofów, wszystko płynie, toteż w dzisiejszej Polsce wśród niektórych grup po upadku komuny diametralnie zmienił się stosunek do pracy, co dotyczy zwłaszcza drobnej burżuazji, z amerykańską zwaną klasą średnią, a także wielkiej burżuazji nader trafnie uznawanej za klasę wyższą czy też panującą. Promują one kult zapierdolu, pracy przesłaniającej całe życie, dającej spełnienie, lepszej niż trawka, seks czy drinki pod egzotycznymi palmami.

Tak jak kult Najświętszej Maryi Panny Zawsze Dziewicy, sportowych Porsche czy Igi Świątek, kult zapierdolu ma swoje święte dogmaty, kapłanów i guru, którzy głoszą Dobrą Nowinę. Dla niewierzących, takich jak ja, jest dziwaczny niczym celebracje smoleńskie lub

Robota

czekanie z zapartym tchem na premierę kolejnego iPhone'a.

Jeśli spojrzeć na kult zapierdolu okiem chłodnym i nieuprzedzonym, jawi się on jako bzdura, po marksowsku mówiąc: ideologia, której celem jest panowanie nad ludźmi, wyciskanie z nich siódmych potów w imię zysku nielicznych. To kult niewolniczy, a tym bardziej perfidny, że żądający od siebie miłości, co mi nieodrodnie przypomina scenę z „Mistrza i Małgorzaty” Michała Bułhaka, gdy dogorywającym na krzyżach legionieści rzymscy kazali przed śmiercią słać hegemoną, który ich na ową okrutną męczarnię skazał.

Kocham mamę, tatę i szefa

Mój znajomy, związkowiec Solidarności w ośrodku pomocy społecznej w dużym mieście, powiedział mi niedawno:

Kiedy twój szef mówi, że cała załoga to jedna wielka rodzina, w dziewięciu na 10 przypadków docho-
dzi tam do naruszeń praw
pracowniczych lżejszego
lub cięższego kalibru. Jeśli
jest ciągle mowa o do-
bru wspólnym, to sygnał
ostrzegawczy, że zapewne
mamy do czynienia
z mobbingiem.

R E K L A M A

Prof. Grzegorz W. Kołodko
W stronę ekonomii jutra

Anna Maria Żukowska
walczy z gen. Jaruzelskim

Zawrotny awans
strażaka PiS

Wojciech Kuczok
Uratowana kariera Szczęsnego

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

SPIRAŁA ODWETU
ŚWIAT
ODWRACA SIĘ
OD
IZRAELA

Kłątwa czerwonej książeczki

Dlatego ci, którzy od lat 90. wpłacali na książeczkę, traktując to jak lokatę, poczuli się wyrolowani po raz nie wiadomo który, bo każda inna forma oszczędzania przyniosłaby im kilka razy więcej.

Waloryzacja ujemna

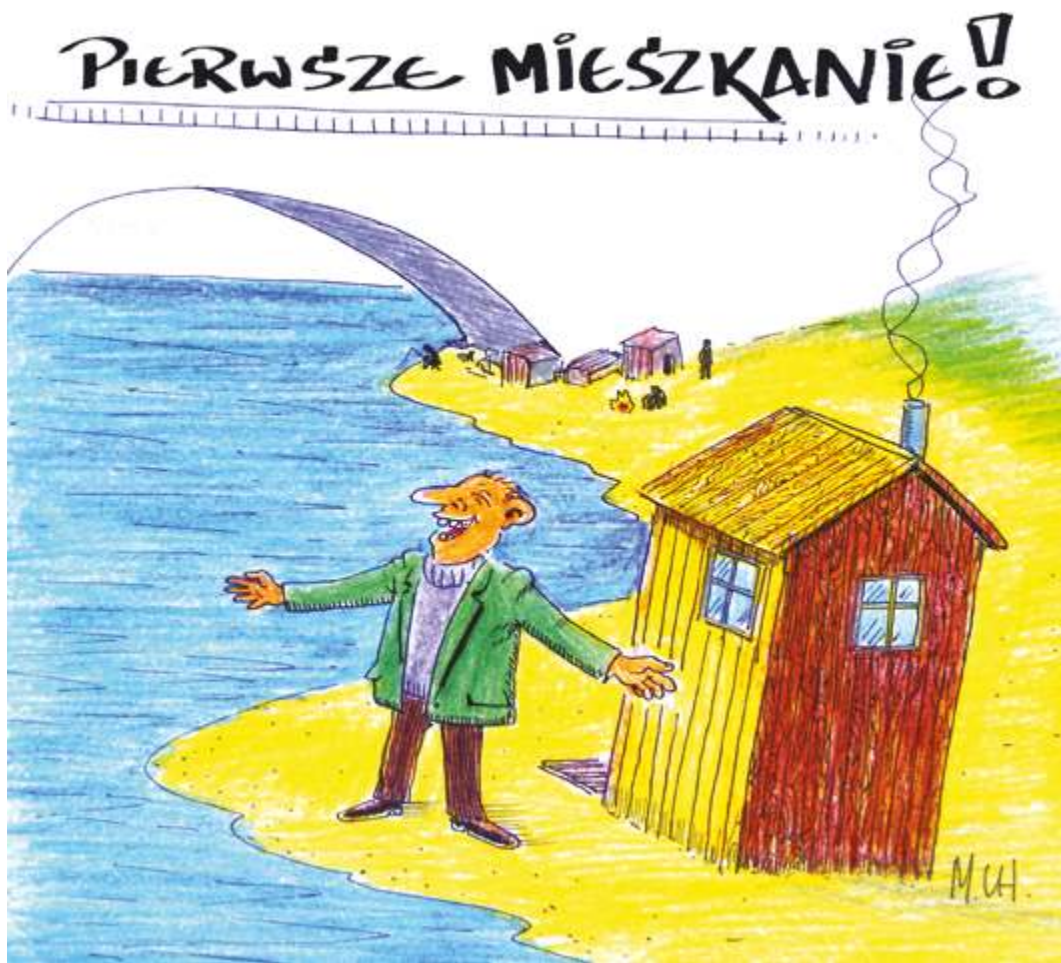
Kolejnym królikiem, który wyskoczył z książeczkowego kapelusza mieszkaniowego, była sytuacja dość pokaźnej grupy osób, które przełaziły zebrane na książeczkach wkłady wprost na konta spółdzielni mieszkaniowych. Rzecz jasna, wszystko odbywało się w idealnej zgodzie z peerelowskim systemem prawnym. Tyle tylko, że po latach ludzie ci zostali załatwieni totalnie.

W latach 80. spółdzielnie mieszkaniowe używały możliwość lokowania pieniędzy wpłacanych na poczet przyszłego mieszkania na lokatach terminowych. Lokaty te podlegały podwyższonemu oprocentowaniu na warunkach określonych przez bank. Ulokowanie ich należało do kompetencji spółdzielni mieszkaniowej. I jak się można domyślać, było z tym różnie. Generalnie jednak tak, że kasę zeżarła inflacja. I jedno, co było można, to sądzić się na podstawie Kodeksu cywilnego. A tam, w oparciu o wcześniej przytoczone orzeczenie Sądu Najwyższego, szanse były żadne.

Kupowanie mieszkania w wolnorynkowej Polsce wiąże się z zaciągnięciem kredytu. Zaciągnięcie kredytu miało miejsce wtedy, gdy kredytodawca był dla banku wiarygodny zarobkowo. A z reguły nie był. Dlatego po kredyt mieszkaniowy stawiali się karnie: mąż, żona i teściowie. Dopiero ich wzięcie do kupy zarobki skłaniały bank do otwarcia skarbca. Tym samym kupowane za kredyt mieszkanie miało kilku udziałowców. A skoro tak, to posiadacz książeczki mieszkaniowej nie mógł jej zlikwidować i dostać premii gwarancyjnej. Bo w ustawie stało, że ma być on jedynym właścicielem nieruchomości.

Inna szansa uzyskania premii wynikała z przeprowadzenia remontu. Ale po ilu latach użytkowania nowego mieszkania konieczny jest remont za kilkadziesiąt tysięcy, polegający na wymianie okien oraz instalacji gazowej i elektrycznej, na co zezwalała nowelizacja ustawy książeczkowej z roku 2009?

Tak czy inaczej, jeśli posiadacz książeczki miał mieszkanie i mógł w banku przedstawić kwit, że jest jego właścicielem lub ma do niego inne prawo – mógł startować po premię na remont. Oczywiście dopiero po takim remoncie, bo żeby dostać



rys. MARCIN CHUDZIK

kasę z książeczki musiał wyłożyć faktury VAT za usługi i materiały. Faktury, dodajmy, wypisane na niego. Gdyby brał się za wymianę okien, to musiały one być dwa. W przypadku wymiany instalacji elektrycznej lub gazowej faktura VAT za materiały lub usługę oraz tytuł prawny do lokalu nie wystarczały. W banku zażądano kserokopii dokumentu zaświadczonego, że elektryk lub spec od instalacji gazowych ma uprawnienia do wykonywania tego typu robót i kserokopii sporządzonego przez siebie protokołu odbiorczego. Dopiero po tym wszystkim bank przelewał posiadaczowi książeczki stosowną kwotę.

Ale tylko wtedy, gdy książeczka została założona przed rokiem 1980. Dopiero od 2013 r. o premię mogli wystąpić posiadacze książeczek

złożonych w latach 1980–1985. Od 2014 – z roku 1986, i tak dalej aż do 2017 r., kiedy przyszedł czas na książeczki z lat 1989–1990.

Ślalom biurokratyczny

Dziś, jeśli posiadacz książeczki jest w stanie samodzielnie kupić mieszkanie, to najlepiej na rynku wtórnym. Bankowi do wypłaty premii wystarczy akt notarialny. Gorzej, gdy ewentualny beneficjent premii kupuje od dewelopera. Najpierw musi załatwić kredyt w banku, potem przełać przynajmniej jego połowę na konto wykonawcy. Ale potem już z górki. Od dewelopera należy tylko uzyskać: pozwolenie na budowę, umowę zobowiązującą do wybudowania miesz-

kania lub domu zawartą w formie aktu notarialnego, zaświadczenie wystawione przez przedsiębiorcę zawierające numer konta bankowego, informację o aktualnej wartości kosztorysowej budowanego mieszkania lub domu, informację o dokonanej wpłacie na pokrycie kosztów budowy, dowód złożenia w sądzie wniosku o wpis do księgi wieczystej roszczenia o ustanowienie odrębnej własności lokalu i przeniesienie tego prawa. I już premia gwarancyjna wpływa na konto.

Jeśli jednak ktoś nie jest biurokratycznym masochistą i ma gdzie zdobywanie ton zaświadczeń, by móc odzyskać swoje własne pieniądze, może książeczkę mieszkaniową scedować na kogoś z najbliższej rodziny. Kosztuje to stówę i wymaga stawienia się w PKO BP z kompletem kwitów zaświadczaających pokrewieństwo.

Jedyny pisowski kamyczek do książeczkowego ogródka jest taki, że od 19 stycznia 2021 r. wszyscy posiadacze książeczek mieszkaniowych muszą dokonać ich rejestracji w banku, który zarządza ich rachunkiem. Zgodnie z tymi przepisami, wniosek o likwidację książeczki i wypłatę przysługującej premii gwarancyjnej można złożyć w okresie 90 dni, rozpoczynającym się od 1 stycznia roku następującego po roku, w którym książeczka została zarejestrowana.

W rękach obywateli znajduje się jeszcze kilkaset tysięcy książeczek mieszkaniowych. Przez ostatnie lata do ich likwidacji budżet dołożył bankowi PKO BP miliardy złotych. Średnia premia gwarancyjna to teraz ok. 16 tys. zł.

Dawny wkład na dwupokojowe mieszkanie daje do tego maksymalnie dodatkowy 1 tys. zł. Taki wkład to dziesięć miesięcznych średnich gierkowski pensji. Dziś – około trzech. Dla państwa to nie jest duża kasa. Dlaczego więc nie chce ono zlikwidować papierologicznych zasieków oraz biurokratycznych minowych pól i upraszczając wypłacanie środków, raz na zawsze skończyć z PRL?

Zwłaszcza że po śmierci właściciela książeczki mieszkaniowej jest ona – podobnie jak reszta masy spadkowej – przekazywana spadkobiercom. I jak się czegoś nie zrobi, to książeczka mieszkaniowa przeżyje Wielką Orkiestrę Owsiana.

TOMASZ BOROWIECKI

to głupota

Oczywiście rodzina dla każdego Polaka jest najcenniejsza, choć – nie licząc snu – spędza on przeciętnie więcej czasu w pracy niż z żoną, partnerem czy dziećmi. W rodzinie wszyscy powinni się lubić, a nawet kochać, wspierać, spędzać ze sobą dużo czasu. No i nie za bardzo upominać się o pieniądze czy warunki zatrudnienia, wszak dobro familii należy stawiać ponad własnym. Co nie bez znaczenia, kłopotów w ramach rodziny nie powinno się wynosić na zewnątrz (np. upominając się o swoje w inspekcji pracy lub sądzie), wszak brudy trzeba prać we własnym domu.

Parafrazując znane powiedzenie z komedii „Seksmisja”, praca radzi, praca radzi, praca nigdy cię nie zdradzi! Nieco inaczej patrzy na to Zofia Smełka-Leszczyńska, trzeźwo zauważając w niedawno wydanej książce „Cześć pracy. O kulturze zap***dolu”: *„Poza wzajemną troską i wspólną zabawką „rodzinnosc” ma jednak dodatkowe implikacje. Przede wszystkim rodzinę zwykło się uważać za rzecz najważniejszą. Lojalność wobec niej powinna być na pierwszym miejscu i należy się dla niej poświęcać, nie oczekując niczego w zamian. Rodzina to priorytet, dla niej zawsze trzeba znaleźć czas, nawet kosztem swoich planów. A skoro tak, to jeśli przełożony dzwoni do pracownika w sobotę o 21.30, ten powinien potraktować to jak telefon od członka rodziny i odebrać, a służbowe polecenie uznać za prośbę o przysługę.*

Praca z klasą

Ważne jest rozróżnienie między pracą a robotą. Ile by nie próbowano wcisnąć durnot biurokratycznych w pracę akademicką czy lekarską, będzie to praca. Dość stabilna, ciesząca się prestiżem, dająca pewne perspektywy. Magazynier, kurier czy pani w Żabce będą natomiast mieć

robotę – bez szacunku ze strony innych, ciężką fizycznie, godną pogardy innych.

W Polsce doświadczenie zatrudnienia jest dla jednych traumatyczne i często wyniszczające (robole płci obojga, czyli klasa robotnicza czy też jak kto woli – ludowa), dla innych mieszane

ZAŁATWIŁAM SOBIE PRACĘ PRZEZ ŁÓŻKO



rys. TOMASZ WIATER

i pełne napięcie (klasa średnia), dla wąskiej grupy ludzi (klasa wyższa) to bajka, w której oni zawsze odgrywają rolę księżniczek i książąt o błękitnej krwi.

Ci z klasy wyższej zawsze będą mówić sloganami: rób to, co kochasz, a nigdy nie będziesz musiał pracować, pracuj mądrze, a nie ciężko, niech praca będzie twoją pasją itp. głodne kawałki. Ci ludzie nigdy nie musieli składać nigdzie żadnego CV, a pierwsze 100 mln dolarów dostali od taty na

osiemnastkę. Jakimikolwiek by byli nieudacznikami i leniami, sieć koneksji rodzinnych zawsze pozwoli im wieść fajne i bogate życie. Jak już do niczego nie będą się nadawać, będą zajmować się sztuką czy działalnością charytatywną, która koniecznie końców sprowadza się do publicznego oddawania drobnej części pieniędzy tym ludziom, których się okradło po cichu.

Klasa średnia spogląda z zazdrością na klasę wyższą i wehlania jej mądrości o tym, że trzeba być zmotywowanym, zaangażowanym w pracę. Że warto wstawać o piątej rano, troszczyć się o samorozwój, dbać pieczołowicie o karierę, szanować przełożonych i liczyć, że jak będą robić darmowe nadgodziny, to ktoś to zauważy i zdoła upragniony awans.

Klasa ludowa ma zdrowe podejście: chce stabilności. Żeby była umowa, ubezpieczenie, pieniądze na koncie w dniu wypłaty. Na nic więcej, jako przyziemna, nie liczy.

Poza schematem klasowym jest tzw. prekariat, który ledwo wiąże koniec z końcem. To dziennikarze na wierszówce, ofiary elastycznych form pracy, często podłączeni do jakichś platform, które rozdają zlecenia (kierowcy Ubera czy Bolta). Często są to ludzie z wyższym wykształceniem, ale żyjący z dnia na dzień, od zlecenia do zlecenia. Bo w epoce polskiej nadpodaży osób z wyższym wykształceniem stopień licencjata czy magistra jest często wart tyle, co papier, na którym go wydrukowano.

Nienawidzę pracy!

Jak podkreśla Smełka-Leszczyńska, *stosunek niektórych ludzi Zachodu do pracy graniczy z czcią. Przyznają jej centralne miejsce w życiu, wiążą z nią poczucie tożsamości. Wyznaczają swoją trajektorię życiową, opierając się na pracy, i wciąż poszukują przepisów na to, jak pracować lepiej. Nakazy związane z dobrym wykonywaniem pracy i poprawnym planowaniem kariery stały się czymś na kształt systemu wierzeń.*

Ludzi pokroju Elona Muska czy Billa Gatesa, mających wiele miliardów dolarów na koncie, przedstawia się niczym namaszczonych przez Boga wybrańców niebios, a każde ich pierdnięcie uznaje się za godne uwagi i pachnące niczym najwykwintniejsze paryskie perfumy. Rzesza ludzi, która tyra na ich sukces, mogąc w zamian liczyć na zwolnienie – co poprawi wartość giełdową firmy – ma się cieszyć, że ma takich wspaniałych szefów. Właściciele korporacji są przedstawiani jako idealni pracownicy, choć reprezentują nie świat pracy, lecz kapitału.

Ludzie zatrudnieni w korporacjach, mający owocowe czwartki i darmową kartę Multisport, chcieliby jak szef czy szefowa odpoczywać z rodziną na Malediwach i szusować po Alpach, ale na co dzień z religijną czcią przestrzegają wymogów dotyczących ubioru i w ogóle wyglądu, czując się ważną częścią – konieczną: kreatywną! – zespołu, który realizuje projekt za projektem. Nie odczuwają solidarności ze sprzątaczką ogarniającą ich biurko czy kurierem obsługującym przesyłki, lecz z menadżerką i dyrektorem zarządzającym. Związki zawodowe kojarzą im się z tłustym Januszem z wąsem, który pali pod sejmem opony, a nie z troską o płacę i warunki pracy.

Idiotyzmem jest pokładanie nadziei w pokoleniu Zet. Że ono przyjdzie i wszystko zmieni, że ceni sobie spokój i chce sobie pożyć, a nie zaharowywać się jak ich rodzice. W książce o kulturze zapierdolu zwrócono trafnie uwagę, że to myślenie magiczne zwalniające starszych z walki o bardzo ludzkie warunki pracy tu i teraz. No i to nie „zetki” są w gabinetach dyrektorskich, nie stoją na czele korporacji, nie wyznaczają standardów tego, co uchodzi, a co jest nie do przyjęcia.

Podsumuję nawiązaniem do wspomnianej na początku tradycji biblijnej postrzegającej pracę jako karę i przekleństwo. Śląskie punki z Cas-teta śpiewają w jednym ze swoich najlepszych kawałków słodziutko zatytułowanym „Robota to głupota”:

*Nienawidzę pracy – wstawać wcześniej rano.
Nienawidzę pracy – codziennie to samo.
Nienawidzę pracy, wolę leniuchować.
Nienawidzę pracy, wolę imprezować
Praca mnie zniewala, mózg mi rozpieperia.*

ZUZANNA JURCZYŃSKA

GADMAN

**Jeśli ktoś
chce cię
zabić, zabij
go pierwszy.**

Izrael po irlandzku

Ormianie po pierwszej wojnie światowej, a Żydzi po drugiej budowali swój wizerunek ofiary ludobójstwa. Dokonanego przy milczących przyzwoleniach mocarstwowych sojuszników. Biernie reagujących na mordercze polityki ich wrogów. Z biegiem lat Ormianie i Żydzi wykorzystywali krzywdy swych ziomków dla bieżących korzyści politycznych i materialnych. Bo posiadając status narodu-ofiary, uważali, że więcej było im wolno.

Żydzi moi

Należę do pokolenia Polaków, które nie miało w zbiorowej pamięci krzywd Ormian. Nie znało ich, nie rozumiało. Zwłaszcza po szkolnej, przymusowej lekturze „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego z prostackim przekazem, że kiedy wybucha rewolucja, to wszyscy walczą ze wszystkimi.

Inaczej było z holocaustem Żydów. Bo dotyczył przedwojennych sąsiadów, przyjaciół rodziców moich. Moich powojennych przyszywanych żydowskich ciotek i sąsiadów też. Ich powszechna obecność i późniejsza powszechna nieobecność sprawiała, że tęskniliśmy za nimi. I te tęsknoty przekładały się na państwo Izrael, na bezwarunkowe poparcie dla jego polityki.

Od czasów studiów na Uniwersytecie Warszawskim popierałem słuszną walkę palestyńskich kolegów o ich własne państwo. Bo im się ono należy, bo Polacy też państwo swe wywalczyli. Także indywidualnym terrorem, który stosował towarzysz Wiktor, młody Józef Piłsudski i towarzysze z PPS też. Ale stale sympatyzowałem z izraelskim państwem. Założonym przeciwko przez ziomków i rodziny sąsiadów moich rodziców, krewnych moich żydowskich ciotek i moich niedawnych sąsiadów też.

Zwłaszcza że przeszli oni przez piekło holocaustu. Tym wszystkie grzechy swe po katolicku zmałali i zasłużyli na odkupienie wieczne. Po holocaulście Jezus na pewno Żydom wszystko wybaczył. Wierzyłem tak, kiedy jeszcze w Jezusa wierzyłem, kiedy do Matki Jego, częstochowskiej Matki Boskiej, mojej żydowskiej sąsiadki, modliłem się przynajmniej raz w miesiącu.

Dziś modlę się jedynie do karpia po żydowsku, jeśli smakuje tak jak ten, którego Mamusia moja cymesem swym dosmaczała.

Żydzi obcy

Dzisiaj na poziomie polityki międzynarodowej deklaratywnie najbardziej proizraelskim państwem w Unii Europejskiej są Niemcy. Nie wiem, ile w tym taktycznej kalkulacji, a ile poprawności politycznej. Najbardziej propalestyńską deklaruje się Hiszpania. Wiosną tego roku Norwegia oraz dwa państwa Unii Europejskiej, Hiszpania i Irlandia, oficjalnie uznały państwowość Palestyny. Inne państwa naszej Unii wyrażały liczne krytyczne opinie wobec totalnej wojny prowadzonej przez państwo izraelskie wobec palestyńskiego Hamasu i jego wojskowych sojuszników. Nawet zwykłe proizraelska Wielka Brytania ograniczyła import broni dla izraelskiej armii.

Jeszcze niedawno nie było w Polsce widać aktywnych antyizraelskich ruchów BDS. Zwanych tak od hasła: „bojkot, dezinwestycje, sankcje”. Wzywających do powszechnego bojkotu politycznego, gospodarczego i kulturowego izraelskiego państwa. Punktem przełomowym było zastrzelenie w Gazie przez izraelskich żołnierzy Damia-

na Sobola, polskiego wolontariusza z World Central Kitchen. Okoliczności tej zbrodni wykluczają pomyłkę, wskazują na akcję zastraszania światowych organizacji charytatywnych pomagających Palestyńczykom.

Protesty pod sztandarami BDS pojawiły się najpierw na uniwersytetach w Warszawie i w Krakowie i zagościły tam na stałe. W zeszłym tygodniu odbyły się też we Wrocławiu, Gdańsku, Poznaniu. Hasła polityki BDS głosi też lewicowa partia Razem. Jej parlamentarzyści zdominowali Parlamentarną Grupę Polsko-Palestyńską i jej kierownictwo.

W kierownictwie Parlamentarnej Grupy Polsko-Izraelskiej dominują parlamentarzyści z Koalicji Obywatelskiej. Nową Lewicę reprezentuje tam posłanka Anna Maria Żukowska, a sejmowe koło Kukiz15 poseł Krzysztof Ardanowski. Nie ma zaś w tej grupie ani jednego reprezentanta Konfederacji.

Dziś w państwach publicystycznie zwanych demokratycznym Zachodem powszechne jest, że

obywatele poniżej 35. roku życia popierają Palestyńczyków, a pokolenia starsze akceptują brutalne działania armii izraelskiej.

Może dlatego, że starsze pokolenie pamiętające tragedię holocaustu stale przypomina, że od czasów wojny na Bliskim Wschodzie w 1967 r. państwo żydowskie nie atakowało jako pierwsze

swych wrogów. Zawsze broniło się po ich ataku. A ofiara agresji zawsze ma moralne prawo do każdej obrony.

Młodsze pokolenia przypominają wtedy, że w czasie swej państwowości Izrael wielokrotnie łamał prawo międzynarodowe, lekcewał liczne rezolucje ONZ, a ostatnio uznał za persona non grata poczciewego, umiarkowanego politycznie sekretarza generalnego ONZ Antonia Guterresa.

Przypominają też, że państwo izraelskie oskarżane jest o zbrodnie wojenne, okupację palestyńskich terytoriów, czystki etniczne, a nawet ludobójstwo. Przeciwno izraelskiemu państwu toczą

się procesy w Międzynarodowym Trybunale Konstytucyjnym i Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości.

Aby dokuczyć medialnie władzom Izraela i wszystkim Żydom na tym świecie, zwolennicy BDS porównują obecne wojskowe ataki na palestyńską Gazę z likwidacją żydowskiego powstania w warszawskim getcie.

Nagłaśniają wypowiedzi zwolenników i doradców rządu premiera Natanjahu postulujących zastosowanie wobec Hamasu i jego sojuszników polityki podobnej biblijnym plagom egipskim. Przypominają opowieści o egipskiej niewoli Żydów, kiedy dopiero liczne plagi spadające na Egipt skłoniły złego faraona do zezwolenia Żydom na opuszczenie Egiptu i powrotu do Ziemi Obiecanej.

Dzisiaj takimi plagami mają być kolejne ataki na Hamas i Hezbollah, aby zniszczyć ich wojsko i wolę walki z żydowskimi kolonistami. Wolność dla Hamasu polegać ma na wyjściu popierających go Palestyńczyków z Izraela i poszukiwaniu sobie nowej ziemi. Najlepiej w sojusznicznym Iranie, Libanie, Syrii, Iraku. Albo zasobnej w terytoria Turcji. Zwłaszcza że ostatnio władze Turcji werbalnie zastrzyły swą politykę wobec Izraela, a tureckie media oskarżyły Żydów o czystki etniczne i praktyki ludobójcze. Oddalając w mroki historii ormiańskie oskarżenia wobec dawnego imperium osmańskiego.

Do czasu wojny Izraela z Hamasem prezydent Putin zachowywał się jak słowiański filosemita. Regularnie spotykał się z premierem Natanjahu, obiecywał mu poparcie izraelskich Żydów pochodzenia rosyjskiego podczas wyborów. Teraz putinowska Rosja werbalnie popiera Hamas. Za co ambasador Izraela przy ONZ od razu obsobaczył ją i uznał Rosję za sojusznika światowych „nazistów”.

Oczywiście Rosja popiera Hamas, bo jest on wrogi wobec USA. Poza tym Rosja kupuje broń od Iranu i zagrzeżdża się w Syrii, gdzie jej bazy wojskowe sąsiadują z bazami Hezbollahu. Dziś w interesie Rosji nie jest totalne osłabienie jej irańskich, palestyńskich i arabskich sojuszników.

Jeśli Izrael skutecznie i krwawo rozprawi się teraz z Palestyńczykami i ich sojusznikami, to zyska bezpieczeństwo na swych terytoriach. Chwilowe, bo każdy zabity w tej wojnie to gleba dla mścicieli w wojnach przyszłych.

Dodatkowo Żydzi żyjący na całym świecie tracą nimb narodu skazanego kiedyś na zagładę, godnego światowego współczucia i wsparcia. Dla ludzi młodszych ode mnie Żydzi

staną się kolejnym narodem skazywanym na masową śmierć, kulturowe ludobójstwo swych sąsiadów.

Żydzi irlandzcy

Powszechnie tutaj znany, szanowany i lubiany Michael Szudrich, rabin polskich Żydów, przypomniał w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”: *Kiedy Zachód pacyfikował tzw. Państwo Islamskie i ginęli cywile, mówiono o „szkodach ubocznych” (collateral damage). A gdy to samo się dzieje w Strefie Gazy, padają zarzuty o ludobójstwo. Tora stawia sprawę jasno: jeśli ktoś chce cię zabić, zabij go pierwszy. Samoobrona. Oczywiście śmierć każdego cywila jest tragedią. Ale kiedy terrorysta zasłania się dzieckiem, które przez to ginie, czy to jest moralne? Izrael popełnia błędy, ale nie znam drugiej armii na świecie, która tak bardzo stara się uniknąć ofiar wśród cywilów. To ogromna hipokryzja! W pierwszych latach wielu jej mieszkańców pracowało w państwie żydowskim. To się skończyło, kiedy stamtąd zaczęli przybywać terroryści. Gaza musi teraz wyzwolić się od Hamasu, nie Izraela.*

Ponieważ w Polsce nieraz wyzwalano tutejszych mieszkańców w zalecanym przez rabina stylu, to jakoś nie wierzę w rychłe światło pokoju na Bliskim Wschodzie. Ale rabin wskazuje też na takie: *Zródlę nadziei jest dla mnie Irlandia. Przez dziesięciolecia katolicy i protestanci nawzajem się zabijali, aż doszli do punktu, w którym uznali, że wystarczy. I doszli do porozumienia. Skoro oni mogli, to możemy i my. To jest bardzo pozytywny przykład dla Izraela, dla Żydów i Palestyńczyków.*

Być może rabin, przywołując Porozumienie wielkopółkowe z 1989 r., nie zna irlandzkiej historii. Nie sądzę, że celowo oszukuje się sam lub polskich czytelników. Dlatego warto przypomnieć, że mogło do takiego historycznego porozumienia dojść, bo armia brytyjska nie potrafiła zniszczyć partyzanckiej IRA walczącej o niepodległą Irlandię Północną. Ale to nie efekty starć wojskowych doprowadziły do wygaszenia konfliktu. Po wejściu Republiki Irlandii do Unii Europejskiej jej mieszkańcy szybko się wzbogacili. Podobnie bogacili się irlandzcy katolicy z Irlandii Północnej, bo brak celi i innych barier zuniifikował gospodarkę obu Irlandii. Zauważcie, że największe trudności Wielkiej Brytanii po brexicie wynikają z problemem odtworzenia granicy między obu państwami zamieszkałymi przez Irlandczyków.

Wyzwolenie Gazy od Hamasu realizowane przez izraelską armię rujnuje gospodarczo oba walczące narody i oddala takie porozumienie na wzór irlandzki. Nie wiem, czy go dożyję, choć pożyć jeszcze długo zamierzam.

PIOTR GADZINOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

7 października – w dniu urodzin Władimira Putina – zorganizowano w Moskwie nieformalny szczyt Wspólnoty Niepodległych Państw. Do stolicy Rosji zjechali się prezydenci Armenii, Azerbejdżanu, Białorusi, Kirgistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu, aby debatować o współpracy ekonomicznej, rozwiązywaniu sporów azersko-ormiańskich oraz ustanowieniu nowego odznaczenia – Miasta Chwały Pracy – które będzie przyznawane miejscowościom szczególnie zasłużonym dla zwycięstwa w II wojnie światowej. Jak donosi „Komsomolska Prawda”: *Gości powitano z charakterystycznym dla Rosji rozmachem, obfitym poczęstunkiem i programem kulturalnym. (...) Ponadto Władimir Putin wręczył swojemu białoruskiemu koledze Aleksandrowi Łukaszenko najwyższe rosyjskie odznaczenie – Order św. Andrzeja.*

Dobrej atmosfery w Moskwie nie zmąciły doniesienia o kolejnym „planie zwycięstwa” autorstwa Wołodymyra Zelenskiego. Jak relacjonuje w „Do Rzeczy” Lech Mażewski: *Według Bloomberg’a na ten plan składałyby się cztery elementy: 1. gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy na wzór art. 5 traktatu waszyngtońskiego (...);*

2. międzynarodowa pomoc finansowa na rzecz odbudowy gospodarczej; 3. dostawy nowoczesnej broni, za pomocą której można by razić cele w głębi Rosji; 4. wsparcie dla operacji ukraińskiej w obwodzie kurskim. Jak widać Zelenski traci kontakt z rzeczywistością równie szybko jak Ukraina terytorium, by wspomnieć choćby o utraconym w ubiegłym tygodniu Wuhledarze.

Nowi rekruci ukraińskiej piechoty „zamarli” w obliczu rosyjskiego ataku – pisze brytyjski dziennik „Financial Times”. Czterech dowódców, zastępca dowódcy i prawie tuzin żołnierzy z czterech ukraińskich brygad potwierdzili w rozmowie z „Financial Times”, że nowym poborowym brakuje podstawowych umiejętności bojowych, motywacji i często uciekają ze swoich stanowisk, gdy są ostrzeliwani. Dowódcy oszacowali, że od 50 do 70 proc. żołnierzy w nowych oddziałach piechoty zostało zabitych lub rannych w ciągu kilku dni od wejścia na front. Jak dodają odpytywani przez „FT” dowódcy, niektórzy nowi żołnierze nawet nie wiedzą, jak trzymać



karabin, a lepiej znają się na obieraniu kartofli niż strzelaniu.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Drogo, boleśnie, niebezpiecznie

Tegoroczny sezon kolarski kończy się fatalnie

Sezon kolarski mamy za sobą. No, prawie. Jeszcze gdzieś tam ścigają się w zimnie i na mokrych, śliskich szosach, ale to już naprawdę końcówka. Oczywiście wiosnę mamy teraz na południowej półkuli i tam wystartują kolarze, ale w Europie nikt za bardzo nie śledzi tych imprez.

Sezonu polskiego kolarstwa nie będę podsumowywać. O kondycji tej dyscypliny w naszym kraju pisałem nie tak dawno przy okazji zwycięstwa Katarzyny Niewiadomej w Tour de France. Mógłbym tylko powtórzyć, że nasze panie – prócz Niewiadomej także Daria Pikulik czy Agnieszka Skalniak-Sójka – zasługują na wielkie brawa. One jakoś potrafią radzić sobie w tym bagnie, w jakim znalazło się polskie kolarstwo. Rafał Majka i Michał Kwiatkowski są bliżej końca kariery niż jej początku. Od czasu zdobycia mistrzostwa świata przez Kwiatkowskiego minęło już 10 lat. W sporcie to wieki.

O tym, jak pokierowano polskim kolarstwem, pisze się nie tylko na łamach gazet sportowych. Nad związkiem kolarskim wciąż wisi wielki dług, tor w Pruszkowie niszczeje, działacze centrali nie potrafią opanować sytuacji. Wciąż dyscyplina ma wielu oddanych działaczy w terenie oraz trenerów, którzy mogą udanie szkolić przynajmniej na początkowym etapie kariery.

Wszystko rozbija się o brak pieniędzy i zainteresowania ze strony PZKol oraz Ministerstwa Sportu i Turystyki, które zajęte jest teraz walką polityczną (skądinąd słuszną).

Sławomir Nitras poszedł na zwarcie ze związkami sportowymi, a to okaże się jego dużym błędem, bo jeśli gdzieś ma szukać sojuszników, to właśnie tam. Dwa tygodnie temu w tekście zatytułowanym „Nitras idzie na wojnę”, pisałem, że nawet walczące gangi szypnansów, opisywane przez słynną brytyjską etolożkę Jane Goodall, zanim zaatakują, szukają sprzymierzeńców.

Dzidzius na drogim rowerze

Kolarstwo jest sportem bardzo drogim. Rower, na którym Tadej Pogačar zdobył mistrzostwo świata, Colnago V4rs, kosztuje grubo ponad 100 tys. zł. Zawodnikom trzeba opiekować się jak dzidziusiem. Zapewnić należy mu dosłownie wszystko, a on ma tylko myśleć o ściganiu się i trenowaniu. Wspomniany Tadej Pogačar rocznie przejeżdża na treningach blisko 30 tys. km, a podczas wyścigów, w których startuje, ok. 9,5 tys. km.

Kolarstwo boli. Podczas wyścigów i treningów mięśnie pieką niemiłosiernie. Do mety dojeżdża się w stanie skrajnego wyczerpania. A na mecie cieszy się tylko zwycięzca i członkowie jego drużyny, którzy pracowali na ten sukces. Reszcie pozostaje ból i rozczarowanie.

Kolarstwo jest także sportem niebezpiecznym. W ciągu minionych pięciu lat podczas liczących się wyścigów życie straciło czterech zawodników. Statystyka obejmuje tylko – jak napisałem – liczące się wyścigi. Ilu młodych ludzi zginęło w niedużych lokalnych imprezach, statystyka nie podsumowuje. Paradoksalnie szczególnie niebezpieczne są treningi. Choć kolarze, zwłaszcza ci profesjonalni, mają bezbłędnie opanowaną technikę jazdy na rowerze,

lawirowania między samochodami, czasem dochodzi do wypadków. Treningi, w przeciwieństwie do wyścigów, odbywają się przy otwartym ruchu samochodowym.

A jednak chętnych do ścigania się na rowerze w Polsce nie brakuje. Garną się do tego sportu i dziewczęta, i chłopcy. Ktoś się zdziwi, dlaczego tak się dzieje, bo wszelkie trudności powinny ich raczej odstraszać. Tajemnica tkwi w tym, że jeśli ktoś już zaczął uprawiać ten sport, poznał smak walki na finiszu i gubienia rywali na trudnych wzniesieniach, nie potrafi zrezygnować. Nie mam żadnych podstaw do twierdzenia, że między Bugiem a Odrą rodzi się mniej talentów niż w innych krajach. O tym, że brakuje nam sukcesów w poważnym kolarstwie, decydują różne czynniki, przede wszystkim organizacyjne. Nie bez powodu pisałem o związku kolarskim i ministerstwie.

Cała nadzieja w Aniołkowskim

Pamiętam, że dawniej w kraju rozgrywano setki wyścigów. Czasem o gminnym zasięgu. To już przeszłość. Młodzi nie mają gdzie się ścigać, choćby bardzo chcieli. Jedynym ratunkiem jest wyjazd za granicę. Ale tam chcą tylko sportowców, którzy mają już jakieś osiągnięcia.

Tą drogą poszedł 27-letni Stanisław Aniołkowski. O przyszłość może być spokojny. W tym roku podpisał wieloletni kontrakt z należąca do najwyższej kategorii UCI World Teams francuską grupą Cofidis. Trafił do niej z belgijskiej stajni zawodowej Bingoal-Wallonie Bruxelles występującej w UCI Continental Teams, a więc – porównując do futbolu – przeszedł z kolarskiej drugiej ligi do ekstraklasy. Droga jak najbardziej prawidłowa, dająca nadzieje na przyszłe sukcesy. Na razie zaliczyć do nich można drugą lokatę na jednym z etapów Giro d'Italia. Jak na debiut wśród najlepszych – nie najgorzej.

Stanisław Aniołkowski jest bardzo szybkim kolarzem. Ma szanse na zwycięstwa z peletonu lub z niewielkiej czołówki. Żeby się tam znaleźć, trzeba jednak pokonać wzniesienia, a z tym Polak, podobnie jak inni sprinterzy, ma kłopoty. Na wielkich tourach podczas trudnych górskich etapów sprinterzy odpadają od stawki, tworzą tzw. grupetto i jedyną ich troską jest dbanie o zmieszczenie się w limicie czasu wyznaczonym przez sędziów na dany etap. Czekać na płaskie odcinki i tam walczyć o swój sukces. Taka chyba będzie przyszłość naszego kolarza w silnej grupie zawodowej Cofidis.

Aniołkowski i jego koledzy mają trudnych rywali. To jest czas kilku gwiazd, które całkowicie dominują w wyścigach. W minionym sezonie najjaśniejszą był oczywiście wspomniany Słoweniec Tadej Pogačar, który wygrał Giro d'Italia, Tour de France i mistrzostwo świata. Tęcza koszulki najlepszego na świecie zdobył po samotnej ucieczce. Zaatakował 101 km przed metą, a ostatnich 51 km był już sam na czele.

Gwiazdy pedałów

Belg Remco Evenepoel został w Paryżu dwukrotnym mistrzem olimpijskim: w wyścigu ze startu wspólnego i w jeździe indywidualnej na czas. Belg zaczynał karierę sportową jako piłkarz i szło mu całkiem dobrze. Był nawet kapitanem młodzieżowej reprezentacji kraju. Harował na całym boisku, od pola karnego do pola karnego, poradzonego mu więc, by szczęścia poszukiwał w sporcie, wymagającym żelaznej wydolności organizmu. Posłuchał. Jego kariery o mało nie zakończył wypadek podczas wiosennego Wyścigu Dookoła Lombardii w 2020 r.



Spadł z wysokiego wiaduktu, złamał miednicę, nie mówiąc nawet o innych poważnych obrażeniach. W następnym sezonie już się ścigał.

Dwukrotny zwycięzca Tour de France Duńczyk Jonas Vingegaard przyjechał na tegoroczny Tour de Pologne (i wygrał go) jako rekonwalescent. Podczas wiosennego Wyścigu Dookoła Kraju Basków wziął udział w groźnej kraksie. Stwierdzono złamanie obojczyka, kilku żeber i odmę płucną. Sezon miał zmarnowany, ale ten kolarz, który podobnie jak Evenepoel karierę zaczynał od piłki nożnej, nie zniechęcił się do ścigania. Trenuje przed kolejnym sezonem.

Holender Mathieu van der Poel, wielokrotny mistrz świata w kolarstwie szosowym, górskim i przełajowym, to kolejna gwiazda. A jest przecież jeszcze rodak Pogačara Primož Roglič, który dla odmiany uprawianie sportu zaczynał od skoków narciarskich i dopiero poważny wypadek na skoczni posadził go na kolarskim siodelku. Naprawdę czołówka jest mocna i wciąż naszym ucieka.

Tragedia Muriel Furrer

Tyle napsoczyłem na polskich działaczy kolarskich, że o mało nie zapomnielibym o światowych. Nigdy, także gdy byłem jeszcze czynnym dziennikarzem i towarzyszyłem peletonom najróżniejszych wyścigów, również tych o mistrzostwo świata, nie darzyłem panów z UCI wielkim poważaniem.

Mężczyźni w charakterystycznych marynarkach, których koloru nie potrafię określić bez narażenia się na obsceniczne skojarzenia, przechadzają się z minami ludzi wiecznie zadowolonych z siebie, podobnie jak prezydent jednego z europejskich krajów.

Podobnie jak ów prezydent prawdziwych powodów do dumy nie mają wielu. Ich decyzje są często nieprzemyślane, a nawet szkodliwe dla dyscypliny, którą zarządzają. Spróbujcie ich jednak skrytykować lub choćby krzywo na nich spojrzeć, a zaraz okrzykną was wrogami kolarstwa.

Podczas tegorocznych mistrzostw świata w Szwajcarii doszło do tragedii. Podczas wyścigu juniorek zginęła 18-letnia Szwajcarka Muriel Furrer. Śliczna, pełna optymizmu dziewczyna, która całe życie miała przed sobą. Aż trudno o tym pisać.

Czy musiało do tego dojść? Na pogodę, nieustannie padający deszcz, który sprawił, że szosa stała się śliska, ani organizatorzy, ani panowie w charakterystycznych marynarkach nie mieli wpływu. Zapewne warunki na trasie sprawiły, że młoda Szwajcarka wypadła z szosy. Co dokładnie się stało – nie wiadomo, bo świadków zdarzenia nie było.

Kolejnych wydarzeń nie da się inaczej opisać niż słowem „skandal”. Jeśli podczas śledzenia transmisji w telewizji zastanawia was, w jaki sposób podawane są tam dokładnie co do sekundy różnice czasowe między kolarzami lub grupami, wielkiej filozofii w tym nie ma. Każdy kolarz ma przymocowany do roweru nadajnik GPS. Obserwatorzy, przede wszystkim sędziowie, widzą – jeśli można tak powiedzieć – przemieszczających się zawodników i czasy, jakie osiągną. Rower Muriel Furrer też oczywiście był wyposażony w takie urządzenie.

Nikogo nie zastanowiło, że punkt oznaczający szwajcarską juniorkę nagle się zatrzymał. Peleton pojechał dalej. Muriel w zimny deszczowy dzień samotnie umierała w lesie.

Przedstawienie musi trwać

O tym, że coś jest nie w porządku, zorientowano się po ok. dwóch godzinach (teraz śledztwo wlicza wszystko co do sekundy), gdy ruszył już następny wyścig, a po kolejnej półgodzinie przetransportowano śmigłowcem ciężko ranną zawodniczkę do szpitala. Uratować jej już się nie udało.

Mistrzostwa trwały nadal. Organizatorzy spotkali się oczywiście z olbrzymią krytyką. Ich reakcja była zdumiewająca. Prezydent UCI, a więc najważniejsza osoba w kolarstwie, Francuz David Lappartient stwierdził, że za połowę wypadków odpowiadają sami zawodnicy, nie można więc winić tylko organizatorów imprez. W internecie – rzecz jasna – aż się zagotowało. Moderatorzy musieli być bardzo czujni, żeby wykropkować niecenzuralne słowa.

Ponieważ pracuję w czasopiśmie, które nie stosuje żadnej cenzury, przyczołczę w oryginale wpis jednego z najpopularniejszych blogerów kolarskich Benjiego Naesena: *Ille można słuchać tych bzdur?! Jak można mówić coś takiego, co powiedział Lappartient? Wygląda na to, że bezpieczeństwo zawodników głównie go obchodzi. Jak może po tym wszystkim spojrzeć w lustro?*

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o prezydencie UCI, poznać jego związki ze sportem, zwłaszcza z kolarstwem. Ciekaw byłem ewentualnej kariery zawodniczej. Niczego takiego w internecie nie znalazłem. Trafiłem tylko na informacje dotyczące polityki. David Lappartient jest bowiem czynnym działaczem francuskiej Unii na rzecz Ruchu Ludowego. Oto kolejny przykład, jak polityka oddziałuje na sport.

Żeby było ciekawiej, pan Lappartient znajduje się wśród siedmiu kandydatów na następcę Thomasa Bacha na stanowisku prezydenta Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Swego czasu mówiło się (dopóki sam zainteresowany tego nie zdementował), że ochęć na przeprowadzenie światowemu olimpizmowi ma prezydent Andrzej Duda. Oczywiście słuchając tych plotek, pukałem się w czoło. Teraz pomyślałem: a właściwie dlaczego nie?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1-16 – 9.10.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

We wiosce gruchnęła wieść, że wińco będą teraz w bukłakach sprzedawać. W bukłakach?, pytali młodzi, który przywykli do noszenia w bukłakach zawiesziny mefedronu, oksykodonu i oranżadki w proszku. Tak, w bukłakach, odpowiedzieli ci ze starszyny, którzy nie byli tak starzy lub tak pijani, że już nie mogli mówić. Tak, wińco w bukłakach.

Wzruszyliśmy ramionami, bo co to za dziwota? Wińco było sprzedawane w butelkach, puszkach, saszetkach i kartonach, na litry, szklanki i łyki, czerwone, białe i różowe, ale zawsze siarkowe, to dlaczego nie w bukłakach?

Dete uznał jednak, że wińco w bukłakach to złoto droższe od powodzi. I dalej rejdach robić, rękawy zakasywać, pianę bić, ręcznie sterować i udawać chłopca z jajami.

Uderzył w stół, aż nożyce odezwały się jedne po drugich.

Na Idę tak naskoczył, że ta pogoniła Piotrką.

Czesława wygnał z posiedzenia sanhedrynu.

Bazyli, który produkował bukłaki, z rozkazu Dete przebrzmował się na interaktywne zabawki edukacyjne dla dzieci od lat dwóch do pięciu. Dostawcy wińca mieli od tej pory dostarczać pokrzywy, łopian i pachnotkę. Wino-rosł uschła i ślad po niej pewnie by zaginał, gdyby nie Mareczek.

– Jebać Dete – powiedział na naszym tajnym zebraniu. – Jak on chce, to niech się gnojówką upija, ale my wińcu wyginać nie pozwolimy!

– Kto my? – zapytałem.

– Oteń, Obrońcy Tradycji Narodu – odpowiedział Mareczek, który został prezesem endziosu. Zapisaliśmy się do niego prawie wszyscy; nawet ci z nas, którzyśmy dotychczas za wińcem nie przepadali.

Zapytacie, co dalej?

To, co zwykle w naszej wiosce. Wińco w bukłakach pojawiło się na rynku już po roku – na początku importowane. OTN stał się partią polityczną, która dostała się do sanhedrynu mimo powszechnej akcji fałszowania kart wyborczych. Po trzech latach Mareczek został sołtysem, a Dete wywieźliśmy na taczkach aż do Londynu, gdzie w areszcie w Wandsworth gnije do dziś.

Wczoraj w radiu podali, że podejrzane są wiśnie w likierze. Mareczek stwierdził, że wiśnie tak, ale nie w likierze. Jego zastępca, że likier może być, ale nie do wiśni. Potrzeba takie prawo uchwalić, żeby po wsze czasy wiśnie mogłyby być tylko w czekoladzie.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN dochodzi do siebie po operacji wyrostka robaczkowego. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** przyjechała do Trójmiasta, żeby jej towarzyszyć w rekonwalescencji.

Wołk-Łaniewska: – Wzięłam ostatnio komórkę, żeby sprawdzić, kogo premier Tusk ka-zał rozstrzelać za alkotubki, otwieram wyszukiwar-kę, a tam, wśród wyszukiwań zyskujących popularność, na pierwszym miejscu Joanna Senyszyn była polska europosłanka. Poczulałam się nieco pominięta.

Senyszyn: – Ale dlaczego? Przecież dzwoniłam do ciebie przed operacją.

– No tak, ale nie powiedziałaś mi, że mogę o tym napisać. A to jednak dane wrażliwe...

– Jakie tam wrażliwe, na Facebooku zdjęcie z łóża boleści powiesiłam. Nawet się nie spodzie-wałam, że moja operacja wzbudzi takie emocje społeczne. Pisały o tym wszystkie portale z wy-jątkiem lewicowych, bo nie istnieją, jak i lewica.

– Ołać lewicę, jak twój wyrostek? Muszę ci wyznać, że popadłam w niejaką panikę. Na-pisałam ostatnio, że liczba nieszczęść, które mogą spaść na jedno miejsce, jest ograniczo-na, więc teraz nic złego nam się już w „NIE” nie przydarzy, a tu słyszysz, że ty na SOR i zabie-rają cię na pilną operację...

– Opowiadam: z bólem brzucha i skierowa-niem na chirurgię pojechałam w ubiegły ponie-działek po 15.00 do szpitala Kopernika w Gdań-sku. Od razu poczułam się lepiej, bo pacjent po-trzebuje życzliwości i poczucia, że jest zaopie-kowany, a jak jeszcze dostanie przeciwbólowe kroplówki, to już mu nic więcej do szczęścia nie trzeba. Czego mi tam nie robili: USG, tomografię komputerową, badania krwi, konsultacje chirur-giczne i anestezjologiczne.

– To wiem, bo dzwoniłaś do mnie wieczorem z komunika-tem, że rano masz operację i mam w nocy spisać dialo-gi, żebyś zdążyła przeczytać przed rżnięciem...

– Tymczasem przed 22.00 byłam już na sali operacyjnej. A po dwóch dniach wypis do domu, gdzie poczułam się gorzej, bo ze względu na wrzody żołądka przestałam brać środki przeciwbólowe, a po narkozie byłam słaba jak niemowlę i dwa dni przespa-łam. Budziłam się na jedzenie i żeby sobie zrobić zastrzyk przeciwzakrzepowy.

– Wzorowy pacjent.

– Wzorowa pacjentka. Bardzo tego pilnuję, bo wiele lat temu mój kolega nie robił zastrzyków za-krzepowych i umarł, a miał tylko złamaną nogę. Ponieważ bardzo popularne jest narzekanie na szpitalne jedzenie, muszę zaprotestować. Było bar-dzo smaczne. Inna sprawa, że głód jest najlepszym

kucharzem, a nie jadłam od niedzieli do wtorkowe-go poranka. Dobra, dość już o chorowaniu, mam powyżej dziurek w nosie tego tematu...

– To może o alkotubkach?

– To chyba wolę o wyrostku jednak.

– Nie doceniasz komizmu sytuacji. Ja umarłam ze śmiechu, kiedy usłyszałam, że z roboty wyleciał dyrektor Krajowego Centrum Przeciwdzia-łania Uzależnieniom Piotr Jabłoński, który był na tym stanowisku od zeszłego wieku. Wyleciał, doniosły media, albowiem zlekceważył informację o alkotubkach.

– Uważasz, że to nie jest wystarczają-cy powód do zwol-nienia?

– Uważam, że premier, który nie wyrzucił ministra obrony narodowej, kiedy wojskowi pi-loci w wojskowym samolocie rozwalili prezydenta i 95 in-nych osób, nie jest do końca wiarygod-ny w pociąganiu podwładnych do po-litycznej odpowie-dzialności. A Klich,



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

nie dość, że nie wyleciał z MON 10 kwietnia 2010, to teraz jeszcze w nagrodę dostał ambasa-dora w Waszyngtonie. Rzadko mi się zdarza, że się zgadzam z prezydentem, ale w tej sprawie akurat jestem z Dudą, który powiedział, że nie podpisze, bo Klich nie ma kompetencji meryto-rycznych i osobowościowych, a do tego ma mar-ny życiorys. Ale à propos kompetencji ludzi Tu-ska: obiecałam ci w zeszłym tygodniu zreferować

moją pogłębianą teorię na temat składu obecne-go gabinetu. A szczególnie członu czarzystych...

– Czarzasi spędzają czas na robieniu głupot i ich odkręcaniu. Trudno zrozumieć, dlaczego premier toleruje ich głupotę i pazerność. Gdyby pogonił połowę nominatów Włodka, i tak reszta by go całowała po rękach.

– No więc to jest właśnie moja teoria. Pier-wotnie myślałam, że ten główniany skład rządu to jest po prostu tuskowy autorytaryzm: nikt się na niczym nie zna, więc nikt mu nie podskoczy. Sądziłam, że premier rozsądnie założył, że gdyby miał w rządzie jakichś fachowców, to musiałby się z nimi użerać, a tak ma wokół grono pokor-nych potakiwaczy – polonistkę od zdrowia, ma-klera od finansów, informatyczkę od edukacji – i rządzi mu się znacznie przyjemniej. A że przy-kład idzie z góry, to koalicjanci wytypowali sobie podobnych kandydatów na ministrów i wicemi-nistrów, żeby premierowi nie robić przykrości...

– To ponoć Piotr I wydał taki ukaz, że podwład-ny powinien przed obliczem przełożonego mieć wygląd lichy i durnowaty, tak by swoim pojmo-waniem istoty sprawy nie peszyć przełożonego...

– Tak sobie właśnie kombinowałam. Ale po-tem doszłam do wniosku, że nie doceniłam ge-niuszu Donalda Tuska...

– To nie jest zdanie, które spodziewałam się od ciebie usłyszeć.

– Chodź mi o geniusz polityczny. Otóż on sobie w ten sposób gwarantuje stałość koalicji. I jej dyspozycyjność. Bo pomyśl: gdyby koali-cjanci skierowali do rządu ludzi z jakimiś wła-snymi żywiołami, zawodowymi czy naukowymi osiągnięciami – to istniałoby nie tylko niebez-pieczństwo, że będą się kłócić o politykę, ale też, że odejdą. Podejrzewam, że Tusk ma uraz po współpracy z prof. Cwiąkałskim, który podał się do dymisji z funkcji ministra sprawiedliwości, jak mu wyhuśtał leszcza w areszcie, co było ra-czej powszechnie odebrane jako pretekst.

– Nikt nie lubi, jak się go porzuca.

– No właśnie. Ale, poza osobistymi uczucia-mi, w grę wchodzi także dobro ojczyzny.

– A tak konkretnie?

– A tak konkretnie, to wygoda rządzenia. Gdy-by, dajmy na to, lewica odeszła z koalicji, powstał-by rząd mniejszościowy i wtedy Tusk musiałby się liczyć z lewicowymi posłami i negocjować z nimi treść każdej ustawy, dla której chciałby pozyskać ich głosy. I gdyby lewicę w tym rządzie reprezentowali – bo ja wiem – profesorowie Ko-łodko albo Belka, żeby nie powiedzieć Senyszyn, to mogłoby się zdarzyć, że koalicja się rozpadnie, bo stanowisko ministra dla żadnego z wymienio-nych profesorów nie jest szczytem życiowych osiągnięć. Ale tu masz garstkę facetów...

– I facetek.

– ...i facetek, którym w życiu nie śniło się, że mogą zostać wiceministrem czegośkolwiek, nie wspominając już o wicepremierze. I nie ma ta-kiej siły, która oderwie ich zady od tych stołków. Będą zajmować te gabinety i jeździć tymi limu-zynami do ostatniego dnia kadencji tego rządu, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobia w życiu. A jeśli do tego należą do partii, która już nigdy nie przejdzie progu wyborczego...

– Zauważyłaś, że Czarzasty już się wycofał z pomysłu abdykacji i przekazania kierowania partią Gawkowskiemu i Dziemianowicz-Bąk?

– Nie. Wycofał się?

– Plecie bzdury, że terenowi działacze przyjeź-dzają z petycjami, żeby nie rezygnował.

– Łubu dubu, łubu dubu, niech żyje nam pre-zes naszego klubu...

– Tak naprawdę lokalnych działaczy praktycz-nie w tzw. lewicy już nie ma. A ci, co się jesz-cze ostali, wyłącznie go krytykują. Naprawdę, gdyby przestał być ekonomem, zaraz by poleciał z wicemarszałką, a i do sejmu już nigdy by się nie dostał. Jest w tysiąc razy gorszej sytuacji niż Kaczyński.

– Kaczyński, jakkolwiek głupio by to nie brzmiało, ma jakąś charyzmę.

– A Czarzasty Annę Marię.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI